Lwów, Niedziela dnia 9. Marca 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 6.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

BANK HIPOTECZNY KRAJOWY.

III.

Czy Wydział krajowy, a dalej i Sejm podejmując się utworzenia, a następnie i prowadzenia Banku hipotecznego krajowego, zechce przyjąć względem kraju wszelką za jego czynność odpowiedzialność, i czy nowa instytucja posiadać będzie odpowiednie siły i warunki, które jej pozwolą działać z korzyścią dla kraju? Są to pytania, na które już dzisiaj odpowiedzieć można.

Że Wydział krajowy ma jak najlepsze intencje, o tem nie wątpimy, ale czy wobec nakreślonego przez ankietę planu, zdoła utrzymać się na stanowisku wytrawnego finansisty i pływać z całą oględnością i konsekwencją, po rozhukanych falach bankierskich operacji? o tem wątpić się godzi. Organizując Bank za pożyczone pieniądze, od których regularnie płacić musi procenta, nie może angażować do obrotu całego zakładowego kapitału i spuszczać się na punktualność wypłat ze strony swoich klientów. Wiadomo powszechnie, a zapewne i Wydział krajowy tego doświadcza, jak trudnem jest nawet przy politycznej egzekucji ściąganie należytości podatkowych w zwykłych warunkach bytu krajowego, i że skutkiem tego, każda z instytucji poborowych, musi mieć pewien stale oznaczony remanent kasowy na pokrycie bieżących potrzeb w razie dopuszczonych zaległości. Z nowym bankiem nie może być inaczej: dyrekcja nie tylko dysponować powinna gotowym funduszem na opłatę procentów od wypożyczonego przez kraj kapitału zakładowego bankowi, ale i funduszem na opłatę kuponów od wypuścić się mających listów hipotecznych, za które samo przez się iż będzie gwarantował. Od rozwoju czynności wypuszczania tych listów, zależyć będzie i wysokość stałego remanentu kasowego, co zważywszy na przeznaczony na ten cel przez Sejm kapitał zakładowy 500.000 zł., nie wiele pozostanie z niego do tylu różnorodnych operacji, jakiemi ankieta chce obdarzyć nową instytucję.

Jeżeli prywatni akcjonarjusze, składając na ryzyko fundusze swoje dla utworzenia podobnego banku, którego operacje dowolnie ograniczać mogą, nie śmieliby rozpoczynać działania z tak małym kapitałem zakładowym, to jakże przypuścić, żeby przyszły instytut krajowy, obejmując powszechną działalność taką, na wsie i miasta galicyjskie, wdając się w udzielanie zaliczek, eskonto weksli, gwarancję wypłaty kuponów posiadaczom listów hipotecznych, był w możności jakiegobądź funkcjonowania. Lecz nie dość na tem: ankieta w punkcie czwartym swego projektu uradziła, że nawet ten zakładowy kapitał udzielony przyszłej instytucji jako zaliczka, ma być krajowi zwrócony, ma się rozumieć z zysków, jakie ten bank po opędzeniu kosztów administracji, ryzyka i innych przynieść powinien. Przyznajemy, że ankieta cokolwiek za różowo zapatruje się na przyszłość, licząc, że urok władzy krajowej, zabierającej się do fundacji takiego banku, wyrobi jej zaufanie i kredyt, i że prywatne kapitały posypią się na jego usługi. Pod tym względem myli się: pieniądz ma to do siebie, że najlepiej wierzy drugiemu pieniądzowi.

Gdyby przyszła instytucja miała nie pół miljona, ale dziesięć razy tyle, i nie sposobem zaliczki oprocentowanej, ale jako stały kapitał dotacyjny, to jeszcze nie wiele mogłaby pomódz upadającemu rolnictwu samych włościan, a cóż dopiero większej własności ziemskiej! Bank polski w Warszawie dla Kongresówki jako instytucja rządowa założony, działając bardzo oględnie, miał z początku kapitał zakładowy ośm miljonów rubli w efektach i posiadłościach ziemskich, który jednak w lat parę potrzeba było podnieść do dziesięciu miljonów. Nie lokował on funduszów swoich na hipotekach, chyba z konieczności; nie wydawał listów hipotecznych, lecz owszem miał przywilej wypuszczenia dziesięć miljonów rubli banknotów bezprocentowych z kursem przymusowym, a jednak mimo to, zyski jego nie przechodziły nigdy ośmiu procentów od kapitału zakładowego, czyli 4% od dyspozycyjnego, a bywały lata, że schodziły do 2%, podczas gdy eskonta jego nie były niższe od 6%. Dodajmy do tego, że Bank polski posiada wyłączną prerogatywę lokacji u siebie wszelkich depozytów sądowych, funduszów gminnych, kaucji i innych, od których płaci 3%, a przekonamy się, że chcąc przyjść w pomoc krajowi nawet bez udzielania pożyczek hipotecznych, nie można liczyć na pewien nawet minimalny dochód stały takiej instytucji.

Ankieta stawiając punkta wytyczne dla statutu przyszłego Banku krajowego, wzięła sobie za modłę zwyczajny statut pierwszego lepszego prywatnego Banku akcyjnego operującego dla zysków, gdy tymczasem instytucja której kraj nasz potrzebuje, zupełnie innych wymaga warunków. Mimo to, że Banki prywatne działają samodzielnie i na ryzyko, że mają zdolnych kierowników, od czego całe powodzenie zawisło, a jednak bywają okoliczności, że nie są wstanie przez kilka lat z rzędu udzielić akcjonarjuszom jakiej bądź dywidendy. Więc cóż się dziać może z instytucją zawiadywaną przez urzędników, krępowanych regulaminem Wydziału krajowego, ostrożnych, rutynistów, jakimi być muszą, w czasach naprzykład kryzysów finansowych lub klęski krajowej?

Ankieta dla zabezpieczenia ile możności regularnego wnoszenia rat od kontrybuentów nowej instytucji, proponowała wyjednanie egzekucji politycznej. Środek ten, ze względu na cel i przeznaczenie Banku, tudzież klasę komitentów, którym ma przyjść z pomocą, byłby co najmniej niewłaściwym a z pewnością niepolitycznym. Kiedy wszystkie prawodawstwa cywilne Europy starają się zawsze brać w opiekę dłużnika przeciw natarczywości i bezwzględności wierzyciela, kiedy inne klasy społeczeństwa naszego korzystające z kredytu, więcej inteligentne i lepiej pojmujące ważność zobowiązań, wolne są od tej surowej ewentualności, jaką musi być egzekucja polityczna, my chcemy na biednego posia-

dacza kilkunasto-morgowej osady nałożyć ten ciężki przymus, mogący go za pierwszą egzekucją zrujnować, a jeszcze prędzej zapędzić w ręce lichwiarskie. Żydzi tem właśnie zjednywają sobie klientellę we wszystkich warstwach społeczeństwa naszego, że obdzierają, ale dopóki mogą nie rujnują i nadzwyczajną okazują skłonność do prolongowania terminów. Dlatego nie wierzymy: aby nowa instytucja zechciała korzystać dla siebie z wyjątkowo-uprzywilejowanej egzekucji politycznej, bo powtarzamy byłoby to dowodem wielkiego z jej strony nietaktu.

Reasumując te wszystkie wyżej wypowiedziane poglądy nasze na obrady ankiety, i podzielając przekonanie, iż wypada coś zrobić dla podniesienia z upadku nie tylko małej ale i większej własności ziemskiej w Galicji, bylibyśmy zdania, że dla włościan utworzenie kas pożyczkowych gminnych i dostarczenie im potrzebnych na to a tanich funduszów, jest naglącą koniecznością. Instytucja hipoteczna dla tego rodzaju własności nieruchomej możebną będzie wtenczas, gdy regulacja hipoteki zbliżać się będzie ku końcowi a instytucja taka założy się jako Towarzystwo związane solidarnością pod opieką, gwarancją i kontrolą kraju, z zarządem wybieralnym przez stowarzyszonych. Jeżeli włościanin nasz jest uznanym za prawomocnego do brania udziału w życiu politycznem, to tembardziej nie można mu odmawiać tej dojrzałości, gdy idzie o sprawy jego majątkowe...

Co się tyczy powszechnego Banku dla wspierania rolnictwa, przemysłu i handlu w Galicji, to utworzenie takowego jest dziś więcej niż kiedykolwiek naglącem, tylko nie sztucznym sposobem, bez pieniędzy. Dotacji nikt nam nie da, podobnie jak ją dał rząd moskiewski Bankowi Polskiemu z dóbr koronnych. Galicyjskie dobra skarbowe już dawno się ulotniły, a pozwolenia na emisję bezprocentowych banknotów z pewnością nie wyjedna delegacja nasza sprzyjająca rządowi. Nie pozostaje zatem nic innego, jak ściągnąć pod warunkami, o ile można najkorzystniejszemi obce kapitały dotąd stroniące od Galicji. Gdy kraj wejdzie w układy z kapitalistami zagranicznemi, da im gwarancję poważną, otoczy opieką, a sobie zastrzeże kontrolę jego czynności, wtedy tylko powstać może instytucja ze świeżemi siłami, która dla własnego interesu związanego z interesem kraju, rozbudzi tu życie i potrafi wyeksploatować nietknięte jeszcze bogactwa naturalne Galicji, jej zasoby i jej pracę dotąd bezużytecznie marnowną.

HANIA.

Powieść

LITWOSA.

VI.

(Ciąg dalszy.)

O godzinie piątej mieliśmy wyjechać. Hania i pani d'Yves ubierały się tymczasem na górze, ja zaś kazałem zaprządz do lekkiego na dwie osoby wolanta, bo sam miałem zamiar jechać konno. Do Ustrzycy było półtorej mili, przy pięknej więc pogodzie mieliśmy przed sobą przejażdżkę nader przyjemną. Gdy Hania zeszła z góry, przybrana wprawdzie czarno, ale starannie, a nawet ozdobnie, bo taka była wola ojca, nie mogłem oczu od niej oderwać. Wyglądała tak ślicznie, że natychmiast uczułem jak mięknie mi serce, a chęć oporu i sztuczny chłód ulatuje gdzieś za dziewiątą granicę. Ale królowa moja, przeszła koło mnie prawdziwie po królewsku, nie spojrzawszy nawet na mnie, choć także wyświeżyłem się jakem umiał. Mówiąc nawiasem, była trochę nadąsana, bo rzeczywiście nie miała ochoty jechać, choć nie było to z chęci dokuczenia mi, ale dla innych słuszniejszych, jak się później przekonałem, powodów.

Punkt piąta, siadłem na koń, moje panie do karykla, i ruszyliśmy razem. Przez drogę trzymałem się od strony Hani, chcąc wszelkiemi sposobami zwrócić jej uwagę na siebie. Jakoż spojrzała raz na mnie, gdy koń mój wspiął się dęba, zmierzyła mnie spokojnem okiem od stóp do głowy, bodaj czy nie uśmiechnęła się nawet nieznacznie, co na razie bardzo dodało mi otuchy, ale natychmiast potem zwróciła się do pani d'Yves i zaczęła z nią rozmawiać w ten sposób, że nie mogłem się wtrącać do rozmowy.

Przyjechaliśmy wreszcie do Ustrzycy, gdzie zastaliśmy Selima. Pani Ustrzyckiej nie było w domu, był tylko pan, dwie guwernantki: Francuzka i Niemka, i dwie panienki: starsza Lola, rówieśnica Hani, ładna i dość z natury zalotna szatynka, i młodsza Marynia, jeszcze dziecko. Panie po pierwszych powitaniach wybrały się zaraz do ogrodu na truskawki, mnie zaś i Selima zabrał ze sobą pan Ustrzycki, aby nam pokazać swoją nową broń i nowe psy na dziki, które sprowadził wielkim kosztem aż z Wrocławia. Wspomniałem już, że pan Ustrzycki byłto najzagorzalszy myśliwiec w całej okolicy, a przytem człowiek bardzo zacny, dobruduszny i równie uczynny, jak bogaty. Miał tyko jedną wadę, która dla mnie czyniła go nudnym, to jest śmiał się ciągle, co kilka słów uderzał się rękoma po brzuchu, powtarzając: „Farsa, mości dobrodzieju! jak się nazywa? — co?“ Zwano go z tego powodu: sąsiad-farsa, albo: sąsiad-jak się nazywa.

Otóż sąsiad-farsa poprowadził nas do psiarni, nie zważając, że może wolelibyśmy ze sto razy być przy pannach w ogrodzie. Przez jakiś czas słuchaliśmy cierpliwie jego opowiadań, aż wreszcie ja przypomniałem sobie jakiś interes do pani d'Yves, a Selim poprostu rzekł:

— Wszystko to jest bardzo dobre, panie dobrodzieju! psy są bardzo ładne, ale cóż my zrobimy, kiedy obaj mamy większą ochotę iść do panien?

Pan Ustrzycki uderzył się dłońmi po brzuchu.

— A, farsa, mościdobrodzieju! jak się nazywa? co? No, to idźcie, pójdę z wami!

I poszliśmy. Wkrótce jednak pokazało się, że nie miałem sobie czego tak dalece życzyć. Hania, która jakoś trzymała się na uboczu od swoich towarzyszek, nie przestała mnie zapoznawać i może naumyślnie zajęła się Selimem, mnie, zresztą, wypadało bawić pannę Lolę. O czem rozmawiałem z panną Lolą, jakim sposobem nie mówiłem niedorzeczności i jak odpowiadałem na jej uprzejme pytania? nie wiem, bo śledziłem ciągle Selima i Hanię, łowiąc uszami słowa ich rozmowy, chwytając spojrzenia i ruchy. Selim nie spostrzegł tego, ale spostrzegła Hania, i naumyślnie przyciszała głos, lub spoglądała z pewną kokieterją na swego towarzysza, który pozwalał się tej powodzi łask unosić. „Poczekajże, Haniu, pomyślałem sobie, robisz ty mnie na złość, zrobię ja i tobie.“ I tak rozumując, zwróciłem się do mojej towarzyszki. Zapomniałem powiedzieć że panna Lola miała szczególniejszą słabość do mnie, i okazywała mi to aż nadto wyraźnie. Począłem więc być dla niej uprzejmy, dworowałem i śmiałem się, choć chciało mi się więcej płakać, niż śmiać, a Lola spoglądała na mnie rozpromieniona swemi wilgotnemi, ciemnoniebieskiemi oczyma i poczęła wpadać w romantyczny nastrój. Ach! gdyby wiedziała jakem ją nienawidził w tej chwili! A jednak tak dalece byłem przejęty swoją rolą, że popełniłem coś niegodziwego. Oto, gdy panna Lola zrobiła w ciągu rozmowy jakąś złośliwą uwagę o Selimie i Hani, wówczas jakkolwiek zatrząsłem się w duszy z gniewu, przecie nie odpowiedziałem jej jak należało, ale uśmiechnąłem się tylko dość głupio i zbyłem ją milczeniem. Chodziliśmy w ten sposób z godzinę, następnie podano podwieczorek pod płaczącym kasztanem, którego gałęzie zniżając się końcami aż do ziemi, tworzyły jakby zieloną kupułę nad naszemi głowami. Teraz dopiero zrozumiałem, że Hania nietylko dla mnie nie chciała jechać do Ustrzycy, ale miała swoje bardziej uzasadnione przyczyny. Była to poprostu rzecz taka: pani d'Yves, jako pochodząca ze starej szlachty francuskiej i wreszcie więcej od innych nauczycielek wykształcona, uważała się za coś lepszego od Francuzki, a zwłaszcza od Niemki z Ustrzycy; te zaś obie uważały się z kolei za coś lepszego od Hani, ponieważ dziadek jej był służącym. Ale dobrze wychowana pani d'Yves nie dawała im tego uczuć, one zaś wyraźnie, aż do niegrzeczności lekceważyły Hanię. Były to zwykłe babskie kwasy i ambicyjki, ale nie mogłem pozwolić, żeby moja droga Haniulka, sto razy zresztą więcej warta od całej Ustrzycy, miała być ich ofiarą. Hania lekceważenie owo znosiła z taktem i słodyczą, czyniącą zaszczyt jej charakterowi, było to jej jednak przykro. Gdy pani Ustrzycka była obecna, nic podobnego nie miało nigdy miejsca, ale w tej chwili obie guwernantki korzystały właśnie z dobrej sposobności. Jak tylko Selim usiadł koło Hani, zaraz zaczęły się szepty i przycinki, w których potrochu i panna Lola, zazdroszcząca Hani piękności, brała udział. Odparłem owe docinki kilkakrotnie ostro, może zbyt nawet ostro, ale wktótce zastąpił mnie, mimo mej woli, Selim. Widziałem, że błyskawica gniewu przemknęła po jego brwiach, ale wkrótce opamiętał się i uspokojony zwrócił szyderczy wzrok na guwernantki. Cięty, dowcipny i wygadany, jak mało kto w jego wieku, wkrótce tak dalece zbił je z tropu, że niewiedziały gdzie się podziać. Pomagała mu w tem pani d'Yves swoją powagą, i ja, który z resztą chętnie byłbym nawet wybił obie cudzoziemki. Panna Lola nie chcąc mnie zrażać, przeszła także na naszą stronę i lubo nieszczerze, poczęła okazywać Hani dwa razy więcej niż zwykle uprzejmości. Słowem: tryumf nasz był zupełny, na nieszczęście jednak i ku wielkiemu memu umartwieniu, główna zasługa spadła i tym razem na Selima. Hania, która mimo całego taktu z wysileniem wstrzy-

mywała łzy cisnące się jej do oczu, poczęła spoglądać na Selima jak na swego wybawcę, z wdzięcznością i uwielbieniem. To też kiedyśmy wstali od stołu i znowu poczęli chodzić parami po ogrodzie, usłyszałem jak Hania pochyliła się ku Selimowi i szepnęła wzruszonym głosem.

— Panie Selimie! ja panu bardzo...

I urwała nagle, bo bała się rozpłakać, a wzruszenie mimo jej woli brało nad nią górę.

— Panno Hanno! nie mówmy o tem. Niech pani na to nie uważa — i... niech się pani nie martwi.

— To też widzi pan jak mi trudno o tem mówić, ale chciałam panu podziękować.

— I za co? panno Hanno! i za co? Ja nie mogę znieść łez w pani oczach. Jabym dla pani chętnie...

Teraz z kolei on nie dokończył, bo nie umiał znaleźć wyrazu, a może w porę spostrzegł, że zbyt pozwala się unosić uczuciom, jakich miał pełne piersi, więc tylko zmięszany odwrócił głowę, by nie dać poznać wzruszenia i umilkł.

Hania patrzyła na niego rozświetlonemi od łez oczyma, a ja wtedy już nie pytałem co się stało.

Kochałem Hanię całą mocą młodej duszy, ubóstwiałem ją: kochałem ją tak, jak w niebie tylko kochają, kochałem jej postać, kochałem jej oczy, każdy promień włosów, dźwięk mowy, kochałem każdą jej sukienkę, powietrze, którem oddychała, a miłość ta przenikała mnie na wskróś i była nie tylko w sercu, ale w całej mojej istocie: żyłem tylko w niej i przez nią, płynęła we mnie jak krew, bi a odemnie jak ciepło. Dla innych może istnieje coś obok miłości, dla mnie cały świat istniał w niej, nic po za nią. Dla świata byłem ślepy, głuchy i głupi, bo rozum i zmysły zająłem tem jednem tylko uczuciem. Czułem, że płonę, jakby rozpalona pochodnia, i że trawi mnie ten płomień, i że ginę, i że umieram. Czem była ta miłość: Wielkim głosem, wielkiem wołaniem duszy na drugą duszę: „moja ubóstwiona, moja święta, moja ukochana, usłysz mnie!“ Otóż nie pytałem już co się stało, bom zrozumiał, że nie mnie, nie mnie to odpowiadała Hania na tę serdeczną prośbę. Wśród obojętnych ludzi, człowiek spragniony kochania chodzi jak w lesie i huka i nawołuje jak w lesie, czekając czy nie odpowie mu głos sympatyczny, więc jeszcze i dlatego nie pytałem już co się stało, bom przez własną miłość i przez własne próżne wołanie przeczuł i usłyszał dwa sympatyczne głosy: Selima i Hani! Wołali się wzajemnemi głosami serc, wołali się na nieszczęście moje, sami o tem nie wiedząc. Jedno drugiemu było niby echem leśnym i jedno szło za drugiem, jak echo idzie za głosem. I cóżem ja mógł poradzić przeciw tej konieczności, którą oni mogli zwać: szczęściem, ja: nieszczęściem? cóżem mógł poradzić przeciw temu porządkowi natury, przeciw tej fatalnej logice rzeczy? Jak zdobyć serce Hani, skoro jakaś siła nieprzeparta kłoni je w inną stronę?

Odłączyłem się od towarzystwa i siadłem na ławce ogrodowej, a myśli podobne szumiały mi w głowie jak zwichrzone stada ptastwa. Ogarnął mnie szał cierpienia i rozpaczy. Czułem, że pośród rodziny, pośród życzliwych serc, byłem jednak tak samotny, świat cały wydał mi się tak pusty, sierocy, niebo nademną tak na krzywdę ludzką obojętne, że mimowoli jedna myśl zapanowała we mnie nad innemi, i pochłonęła wszystkie i pokryła swym ponurym spokojem. Imię jej było: śmierć. A potem: wyjście z tego błędnego koła i koniec cierpień i rozwiązanie całej tej smutnej komedji, i rozcięcie wszystkich bolesnych węzłów opasujących duszę, i wypoczynek po umęczeniu, ach! ten wypoczynek, którego tak byłem spragniony: wypoczynek ciemny, wypoczynek nicości, ale cichy, wiekuisty!

Byłem jak człowiek zmorzony łzami, cierpieniem i snem. Usnąć mi! usnąć! myślałem sobie za jakąkolwiek cenę, choćby za cenę życia. Potem zaś ze spokojnych, ogromnych błękitów niebieskich, dokąd uciekła dawna moja wiara dziecinna, przyleciała jeszcze jedna myśl jak ptak i usiadła mi na mózgu. Myśl ta zawarta była w krótkich słowach.

A jeśli?...

Było to nowe koło, w które wplątałem się na mocy nieubłaganej konieczności. Och! cierpiałem bardzo, a tam z sąsiedniej alei dochodziły mnie wesołe słowa, lub ciche półsłowa rozmawiających, koło mnie pachniały kwiaty, na drzewach świegotały ptaki, udające się na spoczynek; nademną wisiało pogodne niebo zarumienione zorzą zachodnią: wszystko było spokojne, szczęśliwe, ja sam tylko zbolały i z zaciśniętemi zębami pragnąłem umrzeć wśród tego rozkwitu życia.

Nagle drgnąłem: przedemną zaszeleściała suknią kobieca.

Spojrzałem: była to panna Lola. Cicha była jakaś i łagodna, patrzyła na mnie ze współczuciem. Wśród blasków wieczora i cieniów rzucanych przez drzewa, wydawała się blada: rozwiane niby przypadkiem bujne warkocze spływały jej na ramiona.

W tej chwili nie uczułem do niej nienawiści. Duszo, jedyna litościwa! — pomyślałem — czy przychodzisz mnie pocieszyć?

— Panie Henryku! pan smutny jakiś, może cierpiący?

— O tak, pani! cierpiący jestem! — zawołałem z wybuchem, i porwawszy jej rękę, przyłożyłem ją sobie do rozpalonego czoła, potem pocałowałem ją gwałtownie — i uciekłem.

— Panie Henryku! — zawołała na mnie z cicha.

A jednocześnie na skręcie ulicy ukazali się Selim i Hania. Oboje widzieli mój wybuch: widzieli, jak całowałem i przyciskałem do czoła rękę Loli — widzieli to oboje, więc uśmiechnięci zamienili z sobą wejrzenia, jakby mówiąc sobie wzajemnie:

— Rozumiemy co się to znaczy.

Ale tymczasem pora była odjechać do domu. Selimowi droga zaraz za kołowrotem wypadała w inną stronę, obawiałem się jednak, czy nie zechce nas odprowadzać. Z pospiechem siadałem na koń i mówiłem głośno, że już za późno, że na nas i na Selima czas. Żegnając się, otrzymałem od panny Loli dziwnie gorący uścisk ręki, na który nie odpowiedziałem, i ruszyliśmy w drogę.

Selim zaraz za kołowrotem zawrócił, ale pierwszy raz pocałował na dobranoc Hanię w rękę — i Hania mu tego nie broniła.

Przestała mnie już zapoznawać. Była w usposobieniu zbyt łagodnem, żeby pamiętać ranne gniewy, ale ja tłómaczyłem sobie to usposobienie jak najgorzej.

Pani d'Yves zaraz po kilku minutach usnęła i poczęła się kiwać na wszystkie strony. Spojrzałem na Hanię, nie spała; oczy jej były otwarte szeroko i błyszczące jakby ze szczęścia.

Nie przerywała wcale milczenia, była widocznie zbyt zajęta własnemi myślami. Dopiero blizko domu spojrzała na mnie, a widząc, że jestem zamyślony, rzekła:

— O czem pan tak myśli, czy o Loli?

Nie odpowiedziałem ani słowa, tylko ścisnąłem zęby i pomyślałem: szarp, szarp mnie, kiedy ci to sprawia przyjemność, ale nie wyciśniesz ze mnie ani jęku!

Ale Hani rzeczywiście ani śniło się mnie szarpać. Zadała pytanie, bo miała prawo je zadać.

Zdziwiona mojem milczeniem powtórzyła pytanie raz jeszcze. Znowu nie odpowiedziałem nic. Myślała więc, że to są dąsy trwające jeszcze od rana, i także umilkła. (C. d. n.)

KRONIKA NAUKOWA.

(*Przejście nowej planety przez tarczę słoneczną. Domniemane istnienie „Wulkana“. Dawniejsze odkrycie Neptuna. Odkrycie Lescarbaulta. Obliczenie Leverriera. Spostrzeżenie Watsona podczas całkowitego zaćmienia słońca z d. 28. lipca 1878 r. Obliczenie Oppolzera. Mikrotasimetr Edisona i jego zastosowanie do mierzenia temperatury korony słonecznej. Niemieckie wynalazki.*)

Dzień 19. bieżącego miesiąca jest niezmiernie zajmujący dla tych, którzy się zajmują astronomją. Lunety całego świata będą dnia tego zwrócone na tarczę słoneczną, od samego wschodu naszej gwiazdy dziennej. Astronomowie szukać będą na słońcu małej, czarnej, okrągłej plamki, która ma się przesunąć w kilka godzin z jednego brzegu tarczy na drugi. A plamka ta oczekiwana i szukana od dawna i to z zajęciem, które może równego nie miało. Nie ma być to bowiem jedna z owych zwykłych plam, pokazujących się dość często na jasnej powierzchni słońca, biorących swe źródło w atmosferze, jeśli ją tak nazwać można, słonecznej. Pochodzenie jej innego rodzaju. Oto pomiędzy słońcem a ziemią ma stanąć niewidziana dotychczas planeta i nieznana, i ona ma się nam ukazać w kształcie okrągłej plamki. Istnienie tej problematycznej dotychczas planety zostało przepowiedzianem przez astronomów, oni wyznaczyli jej drogę, lecz sami dotychczas jej nie oglądali. W jaki sposób to się działo, postaramy się w krótkości wytłumaczyć.

Wszystkie planety wchodzące w skład naszego układu słonecznego, powiązane są z sobą siłą ogólnego ciążenia. W środku stoi słońce posiadające największą masę i ono kieruje biegiem Merkurego, Wenery, Ziemi, Marsa i wszystkich innych planet. Od czasu, kiedy nieśmiertelny Newton, wynalazł ogólne zasady praw ciążenia, odtąd rozwinięto jego teorje do możliwej doskonałości, poznano wzajemną zależność jednej planety od drugiej i najdokładniej, teoretycznie wyznaczono z jaką szybkością i po jakich drogach każda z nich biegać w przestrzeni musi. Teoretyczne rezultaty zgadzały się z bardzo małemi

wyjątkami z bezpośrednią obserwacją, i skoro np. z rachunku wypadło, że Mars z taką szybkością, po takiej a takiej drodze biedz musi, to i w naturze przekanano się o prawdziwości rachunku. Mars biegł tak szybko i tam się znajdował, gdzie mu wypadało z Newtonowskiej teorji ciążenia. Lecz wspomnieliśmy że znaleziono niektóre wyjątki, nie zgadzające się z teorją. I tak np. Uran, który w pierwszej połowie naszego wieku był najdalszą ze znanych planet, nie szedł tak regularnie jak inne. W jego biegu spostrzeżono niczem niewytłumaczone zboczenia. Dopiero Leverrier objaśnił je, twierdząc iż prawdopodobnie po za Uranem, dalej od słońca, znajduje się jeszcze jakieś nieznane ciało, które siłą swego przyciągania, wywołuje zboczenia w biegu Urana. Leverrier obliczył przypuszczalną wielkość, odległość i położenie tej niewidzialnej planety i rzeczywiście w krótkim bardzo czasie, odkryto ją w miejscu wskazanem przez wielkiego astronoma.

Był to *Neptun*, najodleglejsze ze wszystkich znanych ciał wchodzących w skład naszego układu słonecznego.

Odkrycie to należy do najświetniejszych jakie zrobiono w astronomji i w swoim czasie poruszyło umysły całego cywilizowanego świata, a Leverrierowi przyniosło nieśmiertelną sławę. Był to jeden z największych tryumfów nauki w naszym wieku.

W obecnej chwili mamy do czynienia z czemś zupełnie podobnem. Wyznaczono teoretycznie, że bardzo blisko od słońca znajduje się jakieś ciało nieznane dotąd i ciała tego bez przerwy szukają astronomowie. Historja to niezbyt wprawdzie nowa, bo datuje od połowy bieżącego wieku, lecz w obecnej chwili doszła kulminacyjnego punktu. Za dni kilkanaście mamy zobaczyć to ciało, które zanim zostało widziane, już ochrzczonem było imieniem Wulkana, jak przesuwać się będzie przed tarczą słoneczną.

Leverrier całe swoje życie pracował nad dokładnem oznaczeniem biegu wszystkich planet i przygotowywał wielkie i wyczerpujące o tem dzieło. Otóż podczas tej żmudnej pracy zauważył naprzód niektóre zboczenia w biegu Urana i to go doprowadziło do odkrycia Neptuna. Następnie, gdy badał Merkurego, najbliżej od słońca znajdującego się, to znalazł także coś podobnego. Teorja nie zgadzała się z bezpośredniem spostrzeżeniem. Więc nie mogąc to inaczej wytłumaczyć, Leverrier, w liście pisanym do astronoma Faya powiada, iż musi przypuścić, że między Merkurym a słońcem istnieje jeszcze jakieś jedno lub kilka nieznanych ciał, które są przyczyną owych nie wytłomaczonych zboczeń. A że ciała tego dotychczas nie zobaczono, to nic dziwnego, bo znajduje się ono prawdopodobnie w takiej bliskości słońca, że ginie w jego jasności i jest niewidzialnem przez teleskopy.

Przypuszczenie to żywo zajęło wszystkich i zaczęto szukać sposobów do odnalezienia nowego planety. Robiono rozmaite propozycje; między innemi najważniejszą, że trzeba badać okolice słońca, podczas całkowitego zaćmienia, gdy jasność nie zalewa okolicy przysłonecznej.

Lecz podczas całego szeregu zaćmień, które nastąpiły, nic nie spostrzeżono.

Zaczęto także zwracać szczególniejszą uwagę na dawne spostrzeżenia zapisane w rocznikach astronomicznych. Zebrano rozmaite świadectwa na to, że w rozmaitych epokach widziano niejednokrotnie małe okrągłe ciała przesuwające się przez tarczę słońca, które z biegiem okoliczności przyjęły kształt okrągły. Kilka jednakże z pomiędzy tych dawnych spostrzeżeń szczegółowych i dobrze opisanych, kazało mniemać, iż się miało rzeczywiście do czynienia z przejściem jakiegoś ciała.

W kilka miesięcy po ogłoszeniu hipotezy Leverriera, przybył nowy fakt, czyniący ją jeszcze bardziej prawdopodobną. W jednem z miasteczek na prowincji Francji, mieszkał niejaki lekarz Lescarbault, który w wolnych od zajęć chwilach, zajmował się jako amator astronomją. Otóż przysłał on list do Leverriera, w którem zawiadamia go, iż widział owe szukane ciało, przesuwające się przed słońcem. Podaje zarazem w tym liście wszystkie szczegóły obserwacji. Leverrier przyjął wiadomość tą z niedowierzaniem, więc dla nabrania pewności, pojechał na prowincję i nieanonsowany wszedł do pracowni Lescarbaulta. Tam na miejscu nabrał przekonania, iż w samej rzeczy ów lekarz widział Wulkana.

Jednak przez długi czas żadnych nowych potwierdzeń nie przybywało. Sprawa była prawie uśpioną przez lat kilkanaście. Dopiero w roku 1876 mieli astronomowie w Peckeloh, w Zurychu i w Atenach zobaczyć znowu jakąś plamkę okrągłą na słońcu, która miała pozór jakiegoś ciała opisującego przed słońcem drogę. To spostrzeżenie sprowadziło całą kwestję znowu na porządek dzienny, i posypały się ze wszech stron dyskusje, trwające do czasu, w którym Leverrier ogłosił rezultat nowych swych obliczeń. Zebrał on wszystkie znane dawniejsze spostrzeżenia i wybrał z nich kilka zupełnie wiarogodnych a odpowiadających według rachunku przejściu jednego i tego samego ciała. Obserwacje te powiązał teoretycznie z sobą i na tej podstawie obliczył położenie i drogę nieznanego ciała. Rachunek tak dobrze wypadł, że nawet mógł Leverrier zaznaczyć dzień nowego przejścia. Na wiosnę 1877 miano Wulkan ujrzeć na nowo. To też w dniu oznaczonym lunety całego świata były skierowane na słońce, gdzie tylko pogoda na to pozwalała.

Tu niestety nic nie zobaczono, a Leverrier wkrótce potem umarł nie widząc Wulkana na własne oczy.

Sprawa Wulkana zamilkła znowu aż do niedawna ubiegłego roku. W miesiącu lipcu 1878 dnia 28. miało nastąpić całkowite zaćmienie słońca, widzialne w północnej Ameryce. Astronom amerykański Watson otrzymał od admiralicji polecenie zdjęcia dokładnego planu gwiazd, znajdujących się w okolicy tarczy słonecznej podczas całkowitego zaćmienia. Właśnie w czasie tej roboty, znalazł obok zaćmionego słońca dwie gwiazdy czwartej wielkości, których w żadnych katalogach potem odszukać nie mógł. Naturalnie że pierwszą myślą która się astronomowi nasunęła, była ta, że są to owe planety przepowiedziane przez Leverriera.

Lecz nieco później okazały się pewne wątpliwości. Zarzucono Watsonowi niedokładność obserwacji i sprawa ta z tego powodu jest dotychczas w zawieszeniu. Jeden z zarzutów podniesiony w paryskiej Akademji nauk, był ten, że Watsonowi podczas zdejmowania planu musiała się usunąć luneta i widział inne gwiazdy, w innem miejscu nieba leżące, wziął je za nowe i dotychczas nieznane.

Do wyjaśnienia kwestji przybył przed paru miesiącami nowy i niesłychanie ważny przyczynek. Zawdzięczamy go profesorowi Oppolzerowi z Wiednia, jednej z największych powag w dziedzinie astronomji matematycznej.

Oppolzer przez długi czas, również jak Leverrier zajmował się owem przypuszczalnem ciałem i poddał rachunkowi wszystkie dotychczas znane spostrzeżenia. Wybrawszy z nich kilka odpowiadających przypuszczalnie przejściu jednego i tegoż samego ciała, zestawił je razem i obliczył elementa biegu. Rachunek wypadł mu tak świetnie i tak się wszystko ładnie zgadzało, że ogłosił go niedawno publicznie i zapowiedział przejście na miesiąc bieżący.

Ma ono nastąpić dnia dziewiętnastego marca w godzinach rannych. Według obliczenia przejście to będzie trwało około pięciu godzin. Czarna plamka ma się przesunąć prawie przez sam środek tarczy. Z powodu wielce poważnego źródła tych obliczeń, dzień ten przyjęty będzie z należytem przygotowaniem we wszystkich obserwatorjach.

Lecz czy nie spotka Oppolzera zawód, jak spotkał zmarłego Leverriera? Zobaczymy niedługo.

* * *

Wspomnieliśmy już o zeszłorocznem lipcowem zaćmieniu słońca. Wracamy jeszcze raz do niego, ponieważ przy jego obserwacji po raz pierwszy Edison próbował nowego przez siebie wyrobionego przyrządu, do mierzenia małych bardzo zmian w temperaturze. Przyrząd ten nosi nazwę mikrotasimetru i ma wiele podobieństwa co do swej zasady z mikrofonem.

Własność sztucznego węgla w wysokim stopniu i wielu bardzo innych ciał w mniejszym, która została zastosowaną przez Hughesa i Edisona w mikrofonie i mikrotasimetrze jest następująca. Skoro dwa kawałki jakiegoś ciała opierają się jeden na drugim, to mają one pewną ilość punktów styczności. Gdy przyciśniemy jeden kawałek do drugiego, to takich punktów zetknięcia się robi się więcej i to proporcjonalnie do siły ściskania. Otóż jeżeli przez takie dwa kawałki przepuszczać będziemy prąd elektryczny, to będzie on przez nie trudniej lub łatwiej przebiegał, zależnie od tego czy mniej czy też więcej jest miejsc zetknięcia. Znana to własność prądu elektrycznego, że przez większy przekrój łatwiej przebiega, a im on jest mniejszy, tem większy stawia przebiegowi opór. Więc jeżeli położywszy dwa kawałki węgla na sobie będziemy prąd przepuszczali, to gdy te kawałki swobodnie na sobie leżą, ilość przebiegającego prądu będzie mniejszą, gdy je naciśniemy, zwiększy się i im nacisk będziemy zwiększali, tem łatwiejsza będzie komunikacja.

Przeprowadziwszy drut od węgla do galwanometru, wszystkie te zmiany możemy zauważyć na mniejszem lub większem odchyleniu igiełki. Tą drogą otrzymamy przyrząd niezmiernie czuły, wykazujący najdrobniejszą siłę.

Na tej podstawie zbudował Edison swój mikratosimetr. Cienka laseczka platynowa, opiera się obu swymi końcami o dwa kawałki koksu. Prąd od elementu galwanicznego przebiega wzdłuż tych trzech składowych części, a w jednem miejscu przechodzi przez czuły galwanometr. Najdrobniejsza zmiana temperatury ma taki wpływ na laseczkę platynową, iż ją wydłuża. Ciśnie ona wtedy u obu swych końców na koks, ilość punktów zetknięcia zwiększa się, znaczniejsza ilość prądu idzie do galwanometru, którego igiełka daje odpowiednie zboczenie. Przyrząd

ten tak prosty, jak wszystko co pochodzi od Edisona, jest jednak tak ogromnie czuły, że zbliżenie doń ręki, z odległości parustopowej już wystarcza do otrzymania zboczenia w galwanometrze. Ciało ludzkie ma swoje własne ciepło, które promieniuje na wszystkie strony, i w przytoczonym wypadku od ręki dostaje się przez powietrze do laseczki mikrotasimetru.

Gdy się taki aparat wystawi w oknie na niebo, to sygnalizuje on każdą przesuwającą się chmurę.

Tę nadzwyczajną czułość mikrotasimetru, chciał Edison zużytkować do zmierzenia temperatury wysyłanej na ziemię od tak zwanej korony słonecznej. Podczas całkowitego zaćmienia, gdy księżyc tak stanie przed słońcem iż całą jego powierzchnię zakryje, naokoło ciemnej tarczy, pokazuje się daleko w około sięgająca jasność, pochodząca od nadzwyczaj rzadkiej atmosfery otaczającej rozpaloną kolę słońca. Atmosfera ta zwie się właśnie koroną słoneczną. Edison chcąc zmierzyć ilość ciepła przez koronę wysyłaną, udał się podczas całkowitego zaćmienia z d. 28. lipca 1878 roku na zachód w góry skaliste i ustawił swój mikrotasimetr, tak żeby na laseszkę platynową padał w lunecie obraz korony. Lecz otrzymał od razu zboczenia igły na galwanometrze tak silne, że rzeczywiście miary zdjąć nie można było i skonstatowano wtedy tylko nadzwyczajną czułość przyrządu Edisonowskiego, nie osiągnięto jednak za jego pomocą żadnych praktycznych rezultatów.

* * *

Niemieckie wynalazki.

Znanym jest powszechnie *Megafon* niezmordowanego wynalazcy amerykańskiego. Jest to rodzaj tuby akustycznej, używanej do porozumiewania się na okrętach, w połączeniu z osobnym aparatem do słuchania. Megafon ma służyć do porozumiewania się na znaczną odległość. Dwie ogromne, po 3 metry długości mające tuby z *papier-maché*, o bardzo szerokich otworach, zwracają się ku osobie mówiącej przez tubę, a stojącej w odległości parukilometrowej. Końce obu tub, zwężają się w rurki, których ujścia wkładają się do ucha. Wtedy tuby łowią ze znacznej przestrzeni rozproszone dźwięki, koncentrując je i wprowadzając do ucha.

Megafon nie należy do najlepszych wynalazków Edisona i przy próbach robionych w Europie nie okazał się wcale praktycznym.

Innym przyrządem Edisonowskim, również dobrze znanym jest *fonomotor*. Ostrze przymocowane do środka blaszki, drga z nią razem podczas mówienia, odbywając ruchy tam i napowrót. Edison zużytkowuje w swym fonomotorze te ruchy do obrotu osi, i otrzymuje w ten sposób małą maszynkę obracaną za pomocą mówienia.

Otóż jakiś niemiecki wynalazca znalazł łatwy sposób zdobycia sobie Edisonowskiej sławy, łącząc oba przyrządy razem i ogłaszając swoją kompilację w pompatycznych słowach, jako coś nowego i oryginalnego, pod nazwą barbarzyńską Megafonomotoru. Kilka megafonów ma być ustawionych koncentrycznie, u ich wąskich końców mają być umocowane blaszki z ostrzami, które znowu z kolei rzeczy mają poruszać osią fonomotoru. Wynalazca sądzi, że ruch będzie nie przerwany, bo w naturze są ciągłe dźwięki, które megafony mają zbierać i skupiać wywołując efekt mechaniczny.

Chcielibyśmy wiedzieć, co w tym pomyśle jest oryginalnego i nowego?

Tenże sam wynalazca proponuje zbudowanie tak zwanego *fonogalwanicznego elementu*. Zwykła blaszka miedziana ma być w ramkach umocowaną i drgać podczas mówienia w pobliżu blaszki cynkowej najeżonej cynkowemi ostrzami. Przy dotknięciu się obu metali ma powstać prąd, który można mierzyć na galwanometrze

Nieprawdaż, że i to także coś nowego i niespodziewanego. *Br. Abakanowicz.*

DROGI ŻYCIA

POWIEŚĆ SZWEDZKA

przez

CARLINA.

(*Ciąg dalszy.*)

XII.

Na jakiś czas spokój.

Jesień i zimę przepędziła Lidja bardzo przyjemnie. Cecylja, którą kochała jak siostrę, przychodziła z każdym dniem do zdrowia, a milczący jak zwykle pan domu korzystając z wigilji Bożego Narodzenia, w dowód głębokiej wdzięczności dla Lidji, ofiarował jej kosztowną bransoletę. Wiedział on dobrze, że wyzdrowienie żony i radość jekiej z tego powodu doznaje, Lidji tylko zawdzięczać powinien. Lidja uważając podarunek taki za kosztownym, w żaden sposób nie chciała go przyjąć. Dopiero sama Cecylja nakłoniła ją zapewniając, że tak mąż jak i ona sama, niczem nie byliby w stanie nagrodzić jej starań i opieki, jakie łożyła około chorej. I podarunek ten był znowu powodem do napisania długiego listu do ciotek.

Lidja musiała się teraz długo namyślać pisując do domu, zauważyła bowiem, że listy jej musiały kursować między miasteczkiem a Sztokholmem, bo inaczej nie mogła sobie wytłómaczyć, zkąd Edmund jest tak dokładnie we wszystko wtajemniczony.

Nie myśląc wcale o przyszłości, czuła się tak szczęśliwą w obecnej chwili, że nie przypuszczała nawet, żeby coś mogło zaburzyć jej spokój a zatem i szczęście. Jednakże to coś groziło już podczas świąt Bożego Narodzenia.

Lidja nie życzyła sobie nigdy a nawet nie lubiła się bawić, ale Cecylja na złość Justynie chciała tego koniecznie i prawie zmusiła Lidję, że przyjmowała zaproszenia. W jesieni jeszcze poznała prawie wszystkie znaczniejsze domy w mieście, a uprzejmością i miłem znalezieniem się zyskała serca wszystkich. Tym sposobem plan pani Justyny, aby ją oplątać w nowe intrygi, nie miał tu żadnego powodzenia; nikt nie wierzył w to, co o niej ta intrygantka rozpowiadała.

— Droga Cecyljo, pozwól, abym nie przyjmowała tych zaproszeń; mnie daleko przyjemnie siedzieć przy tobie!... Jakże ja sama pokażę się w towarzystwie? — mówiła błagająco Lidja.

— Tylko mi się nie sprzeciwiaj, mój aniołku, będziesz wszędzie z moim mężem. On także potrzebuje rozrywek, ale jest posłuszniejszy od ciebie. Oddam cię przytem pod wyłączną opiekę już niemłodej wdowy, pani D., znasz ją, ona ten obowiązek chętnie weźmie na siebie.

Lidja musiała ustąpić.

Nie będziem tu opisywać wieczorów i kolacji, o których każdy jeżeli sam nie brał w nich udziału, to przynajmniej słyszał najdokładniejsze opowiadania; nadmienić tylko muszę, że Lidja nadzwyczaj się podobała i dwa nowe odniosła zwycięstwa. Pisarz miejski i sekretarz, rywalizowali między sobą ubiegając się o jej względy, a ponieważ obydwa byli przyjemnymi i wykształconymi ludźmi, zatem trudny był wybór, i w całem mieście o tem tylko mówiono.

Lidja nie pisała o tem do ciotek; w jednym z listów wspomniała tylko o powodzeniach u mężczyzn. I zaraz w kilka dni potem otrzymała bilecik od Edmunda; zdradzał on pewne rozdrażnienie a przytem grzeczną uwagę, ażeby nie opuszczała tak często chorej Cecylji, dla której ma głęboką sympatję.

Czytając to, Lidja uśmiechnęła się zadowolona, i odpisała natychmiast, że chętnie posłuchała jego rady, którą zawsze wysoko ceni, a tembardziej teraz, gdy karnawał się kończy, a Cecylja potrzebuje coraz troskliwszej opieki.

Szczęście nie może trwać długo. Na wiosnę zdrowie młodej pani zaczęło się pogorszać, doktorzy wstrząsali z powątpiewaniem głową. Niezmęczona troskliwość Lidji już nic pomódz nie mogła, biedny Adrjan stawał się coraz bardziej milczącym, a biorąc dzieci na ręce, nie miał odwagi mówić: — Mama będzie zdrowa — i tylko jak duch jaki przesuwał się z pokoju do pokoju, szepcząc prawie niedosłyszanym głosem:

— Bądźcie cicho, kochane dzieci, mama jest bardzo słaba!

Najspokojniejsza była Cecylja, a noce jakie przepędzała Lidja przy łóżku chorej, dały jej poznać z jaką anielską rezygnacją ta młoda kobieta oczekiwała śmierci.

Gdy Lidja ulegając usilnym prośbom chorej, odpoczywała trochę, mąż siedział całemi nocami. Rozmawiali dużo z sobą a ostatnia i najważniejsza prośba umierającej była, aby dzieci oddał pod opiekę Lidji. Tej łagodnej i rozsądnej panienki nikt ci nie zastąpi i dla tego proszę cię— mówiła — staraj się wszelkiemi sposobami zatrzymać ją przy sobie.

Była to ostatnia noc czuwania dla Lidji, bo nim słońce zeszło, biedna Cecylja już nie żyła.

XIII.

Znowu bez przytułku.

Wkrótce po wielkim choć smutnym przewrocie w rodzinie kupca postanowiono, że niezamężna siostra pana Adrjana obejmie zarząd domu.

Była to dosyć sympatyczna osoba, o kilka lat starsza od brata i prawie tak milcząca jak pan kupiec. Można się o niej wyrazić, że przesuwała się tylko przez życie, tak milcząca była i cicha w mowie i ruchach. A chociaż z trudnością jej przyszło opuszczać miejsce zamieszkania, gdzie żyła wygodnie i niezależnie, nie skarżyła się wcale, lecz owszem obiecała bratu dotąd być u niego, dopóki się zupełnie nie urządzi, i nie ureguluje przyszłego życia.

— Cieszę się bardzo — mówiła w sekrecie gospodyni do Lidji — że pana siostra będzie tutaj, nie dlatego, że będę miała mniej zajęcia, bo panna Adrietta sama nie lubi się zajmować gospodarstwem... ale dzieci będą miały opiekę...

— Tak, zapewne — odpowiedziała Lidja — opieka jest konieczna, bo ja tu dłużej nie mogę pozostawać.

I pokazało się wkrótce, że gospodyni miała rację co do czynności nowej pani; bo jeszcze więcej teraz było do roboty; panna Andrietta do

niczego się nie ruszyła, siedziała tylko w fotelu i robiła pończochę. Ale gdy co rozkazała, głos jej miał w sobie tyle stanowczości, że każdy go słuchał. Jej surowa sztywność taką budziła bojaźń, że gospodyni ani razu nie śmiała się sprzeciwiać woli „starej“, jak ją wszyscy w kuchni nazywali.

Dzieci trzęsły się ze strachu, gdy szły do ciotki Andrietty aby podziękować za coś lub powiedzieć dzień dobry i dobranoc, i cieszyły się wtedy gdy Lidja chciała iść z nimi; odkąd bowiem matka umarła, Lidja jako wyłącznie nauczycielka dzieci, dzień i noc miała je przy sobie.

Małżonek nie uskarżał się nigdy na swoją boleść, milczący był jak zwykle, ale blady jak śmierć, zmizerniał bardzo, wzbudzając ogólne współczucie. Lidja nie ośmieliła się nigdy występować z jakiemś pocieszaniem, ale prowadziła często dzieci do pokoju ojca, a gdy został sam z niemi, łzy puszczały mu się czasem po wybladłej twarzy lub spadały na loki małych córeczek.

Pewnego dnia wziął pan Adrjan z wielkiem jej zdziwieniem Lidję za rękę, trzymał czas jakiś w swoich, gdy puścił znalazła ona u siebie krzyżyk wysadzany drogimi kamieniami, który Cecylja nosiła do końca.

— Nie mogę przyjąć tej pamiątki — rzekła zgłębokiem wzruszeniem, zwracając się do niego— krzyżyk ten należy do jednej z córek.

— Nie — odpowiedział — ona nosząc go miała tylko jeden taki a zostawiła dwoje dzieci; dając jednemu drugie mogłoby zazdrościć; pani zatem pomagając jej do znoszenia tego niewidzialnego krzyża boleści, sama jedna masz prawo do jego posiadania.

Tyle słów naraz usłyszeć z ust pana Adrjana H., można już nazwać rozrzutnością, którą widocznie starał się później naprawić, bo przez kilka miesięcy następnych nie powiedział ani słowa do Lidji.

Z powodu takiego smutku i zmartwień, pan Adrjan znów zachorował na oczy tak, że nie mógł nawet czytać tych wiadomości z gazet, które dotyczyły handlu, marynarki, polityki i ekonomji. Siostra pomagała mu wprawdzie, czytując to nosowym głosem, lecz, że się męczyła prędko, więc znów udać się musiał z prośbą do panny Lidji, która zawsze gotowa do usług, odczytywała panu Adrjanowi wskazane dzienniki.

Tak przeszedł cały rok. Lidja musiała uczęszczać na proszone wieczory i kolacje, bo choć sama nie miała najmniejszej chęci, to jednak zapraszano jej małe uczennice, a ciotka Andrietta znaglała ją do tego utrzymując, że towarzystwo i rozrywki konieczne są dla młodych panien.

— Dlaczego Lidjo — zapytała raz złośliwie panna Andrietta — chcesz koniecznie zostawać w domu?

Młoda dziewczyna zarumieniła się tembardziej, że stara panna nie spuszczała z niej oka.

Lidja dawała zawsze wymijającą odpowiedź, albowiem nie chciała powiedzieć, że owe zaproszenia miały w sobie tyle naciągnięto ceremonialnej protekcji, czasami i złośliwości, że nawet kilka razy skarżyła się na to w listach pisanych do ciotek...

— Bardzo jestem ciekawa, coby na to powiedział Edmund! często myślała Lidja; i znowu pisząc do domu zapewniała ciotki, że dalekoby wolała zostawać w domu, i że nie może pojąć dlaczego panna Andrietta koniecznie ją na te wizyty wyprawia.

Nareszcie przyszedł czas, że wyjaśniło się to *dlaczego*. Żałoba się skończyła, gdy panna Andrietta odezwała się pewnego popoludnia do brata: — Nie mogę już dłużej za domem pozostawać. Dzieci oddaj gdzie na dobrą pensję, a dla zarządu domem wystarczy ci gospodyni, która jest brdzo dobrą i rządną osobą.

— Dzieci mam oddać na pensję, dla czego?— odpowiedział zdziwiony pan Andrjan—takie jeszcze małe. Czyż nie znajdzie się dla nich dosyć miejsca w domu?

— Znajdzie się, jeżeli uważasz, że tak będzie im lepiej... W takim razie trzeba wziąć jaką starszą guwernantkę, która będzie zarazem i domem zarządzać.

— ... A przyjaciółkę Cecylji mam tak poprostu oddalić?

— Ma się rozumieć; młoda dziewczyna nie może być u ciebie w domu, gdy ja wyjadę. Zdaje mi się, że to sama ona zrozumieć powinna i choć na nieszczęście uważam, że inaczej myśli, jeżeli nie pragnie być zaręczoną.

— Zaręczoną? — zawołał zdziwiony pan Adrjan.

— Ma się rozumieć. Czy myślisz, że sekretarz i pisarz przychodzą tak często dla mnie albo dla ciebie nudzić się grą w wista?... Jestem przekonana, że Lidja musiała obydwom odmówić, bo już dosyć dawno jak nie byli tutaj...

Pan Adrjan odszedł nie odpowiedziawszy na to ani słowa.

Nazajutrz była to niedziela, wieczorem Lidja usiadła do fortepianu dla zagrania kilku ulubionych kawałków; pan Andrjan wszedł do pokoju... Dzieci bawiły się tuż obok...

Gdy Lidja uczuła na sobie wzrok wdowca, mimowolnie podniosła oczy i zadrżała, gdyż nigdy jeszcze tak na nią nie patrzył.

— Czy to prawda? — zapytał i zamilkł.

— O co pan mię pyta?

— ... Że dwóch bardzo zacnych ludzi prosiło o rękę najlepszej przyjaciółki i opiekunki moich dzieci?

— Ach — odpowiedziała uspokojona tem Lidja, gdyż obawiała się innego rodzaju rozmowy — bądź pan zupełnie o to spokojny; na szczęście, nie opuszczam wcale moich małych wychowanek.

— Bogu dzięki!... Ale niech mi pani powie, czy to prawda?

— To już przeszło, nie mówmy o tem.

Pan Adrjan przybliżył się do fortepianu i milczał czas jakiś, gdy tymczasem młoda dziewczyna zmięszana jego obecnością wygrywała bezmyślnie jakieś pojedyncze nuty.

Nakoniec po chwili odezwał się lakonicznie:

— Moja siostra chce odjechać panno Lidjo.

— A! w takim razie — odpowiedziała Lidja — obecność moja będzie...

— Nie mów pani tego, błagam — przerwał— znalazłem na to sposób... Czyż przyjaciółka i nauczycielka moich dzieci, nie może stać się drugą matką dla nich? — Mówił to tak błagalnym i serdecznym zarazem głosem, że Lidja tylko z wielkim smutkiem mogła odpowiedzieć: — O to jest niepodobieństwem, wierz mi pan niepodobieństwem.

— Dlaczego?... Cóż stoi temu na przeszkodzie?

— Proszę nie pytaj mię pan o to — rzekła wstrząsając smutnie głową. — Nie powinnam przyjmować propozycji, której zadość uczynić nie nie byłabym wstanie.

Widział i zrozumiał jej smutek, wstał więc, ażeby odejść, lecz z takiem współczuciem i żalem spojrzał na Lidję, że ta o mało nie straciła przytomności.

Niewymownie przykro jej było, że wkrótce musi opuścić dzieci Cecylji; ale nie chciała sprzedawać się dla bogactwa, ani też ubliżać pamięci kochanej przyjaciółki. Przytem była przekonaną, że Adrjan zapomni o niej i prędko się uspokoi, bo jak zauważyła nie tylko ona, ale w ogóle wszyscy, że jedna z najpiękniejszych w mieście młodych kobiet, czuje niezwykłą sympatję dla niego, że zaprasza ciągle dzieci do domu rodziców, obsypuje pieszczotami i cukierkami i niech tylko pan Adrjan dobrze się rozpatrzy w towarzystwie, to łatwo znajdzie inną matkę dla ukochanych córek.

Nie wiadomo, czy kto powiedział pannie Andriecie o zamiarach brata i odmowie Lidji, czy też cichutka jak mysz siostrunia podsłuchiwała pod drzwiami, dość, że wkrótce wiedziała dokładnie o wszystkiem, a niezadługo w całem mieście o tem tylko mówiono, tworząc ztąd najkomiczniejsze historyjki... Najprzód dowiedziano się, że ta mała, niepokaźna, skromniutka guwernantka, odmówiła dwom młodym ludziom, uważanym prawie jako najlepsze partje w miasteczku; następnie, że sam kupiec dostał odkosza, który oszołomiany jej kokieterją, doszedł aż do tego, że się oświadczył. Oj, to musi być prawda co opowiadano o jej przeszłem życiu — szeptały między sobą ciekawe sąsiadki... Musi to być naprawdę niebezpieczna kokietka.

Następne dnie były prawdziwą męczarnią dla biednej dziewczyny. Panna Andrietta traktowała ją zimno i z daleka, aż nakoniec pewnego wieczora, gdy siedzieli wszyscy przy herbacie, rzekła do brata: państwo Haller wyjeżdżają właśnie na wieś i chcą na jakiś czas zabrać z sobą twoje dziewczynki.

— Dzieci przecież nie mogą tam jechać same — odpowiedział brat.

— Kochany Adrjanie, możesz być spokojny; rozsądna Karolinka zastąpi im matkę. Przecież nie odmówisz im tego.

— A panna Lidja nie może z niemi pojechać?

— Panna Lidja — wycedziła przez zęby siostra — pewnie będzie wolała zająć się własnemi interesami...

Lidja pisała wprawdzie do ciotek o nieporozumieniach, jakie ostatniemi czasy zaszły w domu kupca, lecz nie czekając nawet odpowiedzi, sama działać postanowiła. Za pośrednictwem panny Andrietty, dowiedziała się, że jest tymczasowe miejsce panny służącej na wsi, i że później niejaka baronowa Gyllen, jadąc do kąpiel morskich, będzie potrzebowała panny do towarzystwa, ale tylko na sześć tygodni.

Powiedziała zatem — będę mogła przez ten czas przyjąć u kapitana Brinks to miejsce, a następnie pojadę z tą panią do wód. Jutro pójdę do pani majorowej... Pan Adrjan zmartwił się bardzo, gdy Lidja załatwiwszy swoje interesa oznajmiła, że jak tylko odda dzieci pod opiekę państwa Haller, najdalej za trzy dni będzie musiała odjechać.

— Panno Lidjo—odezwał się ze smutkiem— czy pani myśli, że Cecylja pochwaliłaby podobne postanowienie?

— Tak, pochwaliłaby z pewnością; bo przeczułaby — mówiła dalej Lidja przytłumionym głosem — ... że coś, do czego się sama przyznać nie śmiem, zniewala mnie do czegoś więcej aniželi do samej wzięczności względem tego domu,

z którego oddalam się z najżywszem uczuciem a można powiedzieć boleścią.

— Serdecnie dziękuję, panno Lidjo, za tę otwartą i szlachetną odpowiedź, a którą uważam jako dowód wysokiego szacunku i przyjaźni dla mnie. Niech pani Bóg za to odpłaci i da tyle szczęścia, ile go zostawiłaś w małym moim domku.

XIV.

Nowe znajomości Lidji.

Zaraz nazajutrz Lidja umówiła się z panią majorową Gyllen, gdzie mają się zjechać za pięć tygodni i jeszcze tego samego dnia pojechała do Hinstorpu, wiejskiej posiadłości pensjonowanego kapitana Brinks i jego nieszczęśliwej żony. Przyjechawszy, pana nie zastała w domu, lecz żona jego, która kazała się nazywać „wielmożna pani“ chociaż najwyżej na wystrojoną kucharkę wyglądała, oznajmiła zaraz na wstępie naszej młodej bohaterce, że to prawdziwy skandal, żeby panna służąca przyjeżdżała pierwej na spróbowanie służby.

— Aleź pani była o tem uprzedzona — odpowiedziała Lidja — może nie będę umiała dogodzić wielmożnej pani...

— O tem i dzisiaj mogłabyś się dowiedzieć... Nie znoszę lalek ani też dam wielkich z arystokratycznem ułożeniem... Czy pani umiesz chleb piec, prać cienką bieliznę i doglądnąć kuchni?

— Nie miałam dotąd sposobności zajmowania się podobnemi rzeczami, ale postaram się!

— Bardzo dobrze... Nigdybym panią nie brała do siebie na mocy świadectwa od pana A., gdyż tam nie wiele mogłaś się nauczyć, ale stara hrabina T. wie dobrze, za co cenić swoich ludzi.

Początek nie był bardzo obiecujący, lecz Lidja wzięła się do włożonych na nią obowiązków z całą energją. Za powrotem kapitana, który był bardzo miłym pięćdziesięcioletnim głupcem, jeszcze więcej przybyło jej zajęcia. Kapitan Brinks nie kłócił się nigdy, ale posiadał przymiot, który każdego do rozpaczy może doprowadzić, mianowicie mówił ciągle o sobie stawiając się na wzór męskiej doskonałości. Najgorzej było dla Lidji, gdyż każdego wieczora pan kapitan udawał się do niej, i w najkomiczniejszy sposób prosił ją już to o zaszycie brudnych rękawiczek, już to o przyszycie guzików do kamizelki. A jednak nie mogła mu tego odmówić, gdyż całe obejście się jego, było tak dobrodusznie naiwnem, że tylko trzeba było uśmiać się z niego.

Małżonkowie żyli w najlepszej zgodzie, a pewnego dnia Lidja miała sposobność dowiedzieć się o wszystkich domowych tych państwa tajemnicach.

Zakładała właśnie firanki w salonie, sama pani nawlekała pokrowce na meble w pokoju męża. Był tam i kapitan zajęty jakąś robotą, gdy pomiędzy małżonkami wszczęła się następująca rozmowa:

— Czy słyszysz kapitanie? — mówiła cicho żona, nie zamykając drzwi od salonu, ażeby przypadkiem Lidja nie chciała próżnować,—że niepotrzebnie bierzesz się znowu do przeglądania rękawiczek. Wiesz, że panna ma inne zajęcie, a przytem kapitanie (miała zwyczaj męża nazywać zawsze *kapitanem*, gdy on nazywał ją „panią Brygidą) zdaje mi się jesteś w tym wieku, że nie potrzebujesz podkręcać wąsików, gdy oddajesz pannie rękawiczki do naprawy.

— Wiesz przecie, droga pani Brygido, że każdego, jak mówią po angielsku, gentlemana, po rękach głównie się poznaje, dlatego też staram się jedynie o utrzymanie ich w porządku... Znany byłem z tego w całym pułku, i mówiono o mnie: „do djabła, ten Brinks ma ręce jak panienka!

— Tak, bo nigdy do niczego się nie ruszysz.

— A mimo to, droga żonko, nasz owies bardzo dobrze się udał.

— Może twój owies i w twoim majątku, kapitanie — bo muszę ci przypomnieć, że Hinstorp do mnie należał.

— Tylko czwarta część była twoja; inne trzy, o ile sobie przypominam, kupiłem już od twojej familji.

— Na co tyle gadać kapitanie, mówię teraz o twoich wąsikach.

— Aha, tobie się zdaje, że ja wtedy tylko zakręcam wąsy jak mam popatrzyć na kogoś pięknego? — W pułku mówiono: „Ten niegodziwiec Brinks ma szczęście: wszystkie pokojówki na niego tylko spoglądają“... Ale bądź spokojna, gdyż ja dla każdej kobiety jestem tak samo grzeczny. Mówię np. do dziewki od krów:

— Sara, ja wiem, dajesz więcej mleka temu krasemu aniżeli białemu cielęciu, i jeżeli tego nie zaprzestaniesz dalej, będę ciebie uważał za najbrzydszą dziewczynę, jaką kiedybądź widziałem! Później żeby ją pocieszyć, podkręcam wąsa jak za młodych czasów, a głupia dziewczyna wytrzeszcza oczy z radości.

— O ja wiem! jesteś za nadto...

— No, bo tak przystoi gentlemanowi. Umiem ja także ściągać wąsa do góry i jak spojrzę ostro, to nikt nie piśnie! Pamiętam, mówili w pułku: „Ten niegodziwiec Brinks jak opuści wąsa, to każdy drży przed nim“... Ale przytem wszystkiem nie jestem zbyt głośny jak pewna osoba, a oczy moje nie miotają błyskawic za najmniejszem podrażnieniem.

— Proszę cię, kapitanie, daj pokój z twymi przycinkami. Mówisz za najmniejszem podrażnieniem, bardzo jestem ciekawa czem ty mógłbyś byc podrażnionym, jeżeli cię za każdym razem uroczyście przepraszam. Kiedy już mówimy o gniewaniu, powiedz mi, czyż to nie może irytować, że właśnie odesłaliśmy teraz córkę na pensję, kiedy panna Lidja mogłaby doskonale uczyć Minnę... Ale zresztą nie warto o tem mówić, bo to tylko miesiąc próbny.

Lidja słysząc mimowolnie całą rozmowę, postanowiła zmienić miejsce, tembardznej że niesłychanie drobiazgowe wymagania pani domu utrudniały jej prace, do której ona i tak wcale przyzwyczajoną nie była. Jednakże nie mogła zaprzeczyć, aby służba w Hinstorp, nie zapewniała jej pewnych korzyści. Pani Brinks była doskonałą kucharką, a Lidja wiele nauczyła się od niej; musiała przyznać sama, że pod kierunkiem tej uzdolnionej gospodyni więcej zyskała pod względem praktycznego obznajomienia się z gospodarstwem domowem, w ciągu nie całego miesiąca niżeli podczas długiego pobytu w domu bogatego kupca.

Nawet ostatniego wieczora jej pobytu w Hinstorpie, sama pani przyznała, że pod każdym względem Lidja zrobiła zadziwiające postępy i że kiedyś, jak z tego wnosi, doskonałą będzie gospodynią. Kapitan znów oddając jej po raz ostatni rękawiczki do naprawy, tak cienko zakręcił wąsiki, że prawie prostopadle stanęły mu pod nosem, i zapewnił, że rękawiczki te włoży do szklannej szkatulki na pamiątkę najzacniejszej osoby, jaką jest panna Lidja.

Nasza bohaterka za grzeczności takie wywzajemniła się również grzecznością, nie przyjmując żadnej za ten miesiąc zapłaty, bo jak utrzymywała, ma się za szczęśliwą, że mogła być uczennicą tak sławnej jak pani kapitanowa gospodyni.

Gdy nazajutrz po wzajemnej wymianie komplementów jechała na stację, aby spotkać się z majorową, zkąd obiedwie jechać miały wprost do wód Lyrehil, Lidja uczuła się wolna i szczęśliwa jak ptaszek. Nie wiedziała wprawdzie czy i gdzie po tych sześciu tygodniach znajdzie punkt oparcia, ale nie martwiła się bardzo, bo pokładała całą nadzieję w Bogu, który ją dotąd nie opuścił. (Dok. nast.)

AWANTURNICZA WYPRAWA

DO CHIWY

BURNABY'EGO

KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ.

(Z angielskiego).

V.

(Ciąg dalszy).

Kilkanaście ulic wązkich, zabudowanych ciasno domami piątrowymi, pośrodku plac duży z karawanserajem, a dokoła miasta kilka tysięcy kibitek kirgizkich, — oto Kazala widziana *à vol d'oiseau*. Latem jest ona mniej ożywiona i mniej ludna, gdyż Kirgizi porzucają wonczas swe leże zimowe, zwijają kibitki i puszczają się w stepy dla wypasu bydła. Natomiast na zimę ściągają ze wszech stron do Kazali i na równinie śnieżnej rozbijają swe namioty dokoła miasta.

Kibitka kirgizka kształtem podobna jest do głowy cukru, niskiej a pękatej, i posiada dwa otwory, jeden z boku zastępujący miejsce drzwi, drugi u góry odgrywający rolę komina. Wewnątrz wysłana jest naprzód trawą, potem futrem baranim, a nakoniec perskiemi dywanami. Ściany wewnątrz również są wytapetowane futrem i dywanami, zewnątrz zaś trawą, a powierzchu wałem śnieżnym. Pośrodku znajduje się w ziemi małe wgłębienie, rodzaj owalnej jamki, w której pali się nieustannie ogień. Nad nim wznosi się trójnog żelazny, zaopatrzony w rożny i łańcuchy do pieczenia baraniego mięsa i zawieszania garnków glinianych, w której gotuje się zupa kirgizka lub kirgizka herbata, składająca się z wody, zielonej herbaty i baraniego łoju. Bogatsi a smakosze dodają jeszcze do niej nieco szafranu. Coś wstrętniejszego nad ten napój trudno sobie wyobrazić. A ustrzedz się go niepodobna, chyba kosztem wyrzeczenia się zwiedzenia choćby jednej kibitki kirgizkiej. Albowiem jest on tak pospolitym czenstunkiem u kirgizów jak kawa u Turków i pierwsza rzecz którą kirgiz podaje gościowi, jest właśnie garnuszek takiej herbaty. Dobre wychowanie nakazuje ją wypić do dna, broń Boże jednym haustem, bo toby oznaczało łapczywość i budziłoby podejrzenie, że gość zbyt rzadko jest w możności uraczyć siebie w domu podobnym nektarem. Pije się więc ją pomału, z przestankami, aby jednak okazać gospodarzowi zadowolenie z traktamentu, wypada za każdym haustem cmokać po kilka razy głośno językiem. Podczas tego procederu gość i gospodarz, jako też i rodzina ostatniego, milczą zupełnie. Jeżeli cmokanie było i częste i donośne, a cała fizjonomja gościa zdradzała najwyższe zadowolenie, natenczas gospodarz jest dobrze dlań usposobiony, i gość może żywić na-

dzieję, że cel jego wizyty—targ o barany lub swaty o córkę—osiągnięty zostanie. Dwie te rzeczy (bo u Kirgizów kobieta jest rzeczą, towarem, nieraz monetą) stanowią jedyny przedmiot aspiracji Kirgiza. Miec jak najwięcej baranów i módz jak najczęściej zmieniać żonę, to ideał ich życia!

Wszelako poligamja nie istnieje u nich. Widocznie nie sprzyjały jej powstaniu ekonomiczne warunki bytu. Życie koczownicze, ciągła włóczęga po stepach w poszukiwaniu bogatych pastwisk, walka nieustanna z innemi ordami o te pastwiska, oto warunki, wśród których harem nie mógł się rozwinąć. Ale Kirgizi zastąpili go sobie instytucją pokrewną, znacznie mniej kosztowną, o wiele wygodniejszą, a w rezultacie dostarczają im tych samych co harem przyjemności, — instytucją nieograniczonej swobody rozwodów, niekrępowanej niczem, bo jeno tylko zasobami finansowymi. Żonę trzeba sobie kupić a rozwodząc się z nią trzeba ją najczęściej odstąpić za pół darmo lub całkiem za darmo. Tym sposobem Kirgiz traci na każdem małżeństwie i im częściej się żeni, tem bardziej uszczupla swój majątek. Zwykła cena za żonę na stepach kirgizkich jest 100 baranów. Jednakże od tej kwoty przecięciowej, fluktuacje w obu kierunkach są dość znaczne. Dziewice brane z rąk rodziców i słynne na całą ordę ze swej piękności dochodzą niekiedy do ceny 200 rubli, co licząc na barany wynosi niemal 500 sztuk; natomiast żona z drugiej ręki, która już miała niejednego i podszarzane ma wdzięki, sprzedaje się za 20, 30, 40 baranów.

— A co kosztuje wasza, ojcze, żona?—zapytuje raz Nazar Burnabyego, spoufalony jego łagodnem z nim postępowaniem, tak odbijącem od metody, przyjętej przez Moskali w stosunku z Tatarami.

— Nie jestem żonaty—odpowiada Burnaby.

— Tak!?—To u was tak drogie żony?

— Zkąże tak wnosisz?

— Muszą być szalenie drogie, kiedy Wasza Miłość nie mogła sobie dotąd kupić.

— Ale przeciwnie, u nas za żony nietylko się nie płaci, ale jeszcze dopłacają.

— Eh!—Co też Wasza Miłość mówi!— W takie rzeczy nie uwierzę.

— Ale zaręczam Ci. Każda kobieta, chcąc wyjść za mąż, musi posiadać pewien posag, to jest pewną kwotę pieniędzy, którą oddaje pod rozporządzenie męża.

— A to byłby istny raj, gdyby to tak było, tylko że tak pewno nie jest i Wasza Miłość chce także ze mnie żartować. Gdyby za kobiety dopłacano to przecie wszyscy żeniliby się co tydzień z inną. Ja do dziś dnia miałbym już sto żon, a tak już siedm zim żyję z jedną.

I Nazar, niewierny jak drugi Tomasz, nie dał się przekonać, pomimo argumentacji i zapewnień Burnabyego. Dla europejskich epuzerów wyszło na dobre. W bardzo bowiem przykrem znaleźliby się położeniu, gdyby Kirgizi, spropagowani opowiadaniem Burnabyego, porzucili swe stepy, a w malowniczych swych strojach, z kindżałami za pasem a w *papachach* baranich na głowie, zjawili się w Europie i stanęli do konkursu, oświadczając gotowość żenić się z pannami, chociażby bez posagu. Wkradłaby się natychmiast straszna demoralizacja w społeczeństwie *papów*, a po kilku latach posagi, te złotodajne hipoteki, na które zaciąga się zwykle już naprzód długi u żydów, zeszłyby do poziomu zabytków średniowiecznych.

Ale wróćmy jeszcze do Kazali. Ze względu na swe położenie geograficzne odgrywa ona już dzisiaj ważną rolę. Jako położona niedaleko ujścia Syr-Darji do morza Aralskiego, a prócz tego na głównym szlaku handlowym, wiążącym Orenburg z Bocharą, Chiwą, Taszkientem i Kokandem, Kazala jest już dzisiaj najważniejszem miastem na stepach kirgizkich, rzecby można stolicą Kirgizji. W przyszłości zaś, jeżeli przyjdzie do skutku projektowana przez Moskali kolej żelazna, mająca połączyć Orenburg, jako najbardziej wysunięty posterunek moskiewskiej cywilizacji, z Azją środkową i dalej z Indjami, natenczas Kazala stanie się głównym węzłem licznych kolei, idących w głąb Azji od morza Aralskiego i kto wie czy przy końcu bieżącego stólecia nie będzie posiadała jaki miljon mieszkańców. Że przypuszczenie podobne nie jest płodem bujnej fantazji, ale leży całkowicie w zakresie rzeczy możebnych, najlepszym dowodem fakt ten, iż żydzi i Grecy wierzą w nie tak dalece, że już dzisiaj na rachunek tej świetnej przyszłości Kazali, lokują w niej swe kapitały. W Kazali istnieje bank, założony przez spółkę Żydów i Greków odeskich. Owoż operacje tego banku są dwojakiego rodzaju: z jednej strony pośredniczy on w handlu z Azją środkową, z drugiej zaś na rzecz rozmaitych kapitalistów odeskich, naturalnie żydów i Greków, zakupuje od rządu moskiewskiego grunta w Kazali. Grunta te rząd sprzedawał zrazu bardzo tanio, rozdarowywał nawet w celu podsycenia kolonizacji; dzisiaj jednak poszły one znacznie w górę w skutek konkurencji Ormian, którzy na Wschodzie stawiają wszędzie śmiało czoło żydom i jakkolwiek mniej od nich bogaci, nie cofają się jednak przed zawziętą z nimi walką o byt. Owoż w skutek rzucenia się także Ormian do nabywania ziemi, cena jej wzrosła tak dalece, że dzisiaj trzeba za dziesięcinę ($1^3/_4$ morga) zapłacić rządowi 5—10 rubli, gdy wprzódy za rubla można było kupić dziesięć dziesięcin. Gdy mówimy o ziemi, rozumiemy tu parcele położone w promieniu kilkuwiarstowem dokoła Kazali i na wybrzeżu Syr-Darji. Dalej zaś, w głąb stepu, można jeszcze dostać za rubla choćby i sto dziesięcin. Ziemia ta nie przynosi naturalnie obecnie żadnego dochodu; uprawianą prawie nie jest, pobierana zaś od Kirgizów opłata za wypas bydła, — opłata otrzymywana w naturze, w żywym inwentarzu — nie dochodzi nawet do rąk właścicieli, zwłaszcza tych, ktorzy mieszkają w Odessie. Korzystają z niej żydkowie i Grecy, będący urzędnikami w banku Kazalskim. Tamci zaś liczą tylko na te olbrzymie zyski, jakie z czasem ciągnąc będą z tej ziemi, kiedy rząd wybuduje kolej do Kazali. Praktyczni ludzie—nieprawdaż? Z czasem miljonowe fortuny będą mieli w swem ręku za jakie paręset rubli, które dzisiaj wydali bez uczynienia sobie żadnego uszczerbku.

Pobyt w Kazali kapitana Burnabyego potrwał dni kilka. Trzeba było kupić konie i wielbłądy, nająć Kirgizów przewodników, poczynić rozmaite zapasy, zwłaszcza lodu i drzewa, bo odtąd podróż miała się odbywać po zupełnie już nagim i bezludnym stepie, pozbawionym wody i wszelkiej zgoła roślinności. Jen. Gołowin pragnął koniecznie obdarzyć Burnabyego eskortą z kozaków, pod pretekstem, że kraj jest przepełniony bandami rozbójników kirgizkich, właściwie zaś w tym celu, aby mieć nad nim kontrolę i — jak o tem przekonamy się w krótce — aby go nie wpuścić do Chiwy. Jednakże po namyśle odstąpił pan jenerał od tego zamiaru, ale dopiero wtedy kiedy Burnaby zgodził się przyjąć za przewodników tych kirgizów, których mu jenerał zarekomendował.

Tym sposobem po kilku dniach pobytu w Kazali wyruszył Burnaby w dalszą podróż na czele małej karawany, złożonej z dwóch koni i dwóch wielbłądów, a czterech jeźdźców, uzbrojonych w zakrzywione karabelle, puginały i dzidy. Jeden tylko Burnaby miał broń palną, karabin zawieszony na plecach i rewolwer sześciostrzałowy za pasem. O świcie mała ta kawalkata opuściła Kazalę, a około południa wjechała na step Kizil-kumski, rozmiarami większy od Francji.

(C. d. n.)

Z Wiktora Hugo.

O! myśli! grzmij! grzmij ciągle wielkim głosem dzwonu!

Gdy Jozue pod mury przybył Jerichonu,
Przy dźwięku trąb obchodził miasto na około.
Za najpierwszem obejściem. król śmiał się wesoło,
A za drugiem rozkazał mu te słowa rzucić:
„Czy myślisz miasto moje tchnieniem trąb wywrócić?"
Za trzecim razem nieśli świętą arkę przodem,
Po za arką szły trąby i armia z narodem,
A małe dzieci biegły i na arkę plwały.
Za czwartym, pośród blanków i na mur zczerniały
Posiadały niewiasty i kręcąc wrzeciona,
Natrząsały się głośno z synów Aarona
I ciskały w Hebrejskie zastępy kamienie.
Za piątym razem wałów zalegli wzniesienie
Ślepi i chromi; — wyjąc, brali się za boki
I dźwięk trąb przedrzeźniali, co szedł pod obłoki.
Za szóstym razem dumny, na wieżę z granitu,
Tak wysoką, że orzeł nie dostał jej szczytu,
Twardą, że błyskawica by jej nie rozdarła,
Wstąpił król i roześmiał się z całego gardła
I wołał: „Ci Hebreje nieźli muzykanci!"
I śmiali się wraz z królem radni, adjutanci,
I starce co w świątyni dysputować siadły.

Za siódmym razem wieże i mury upadły.

M. Rodoć.

Z WIKTORA HUGO.

Są godziny nikczemne, gdy ludy olśnione
Pokojem bez sławy,
Oddają się radości, — niebaczne, szalone
Ze śmiechu i wrzawy.

Wtedy z narodów, które fatalny sen mami,
Wśród nocy do rana,
Cnota kapie i spada jak woda, kroplami
Z gąbki wyciskana.

Wtedy przed zbrodnią, gwałtem, swawolą, brzydotą,
Istota żyjąca
Gnie się jako krzak podły, gdy go wicher w błoto
Pochyla i wtrąca.

Wtedy orgja. Pierś żadna nie wzbiera tajemnym
Zapałem natchnionym,
Je się, pije i tańczy; i jest się nikczemnym
I zadowolonym.

Zbrodnia szczęśliwa — wsparta o szereg sług, dumny,
Bez czci i miłości,
Smieje się; — a tam w grobach, drżą zaparte w trumny
Wielkich Ojców kości.

Żyje się wstydem, hańbą; myśl senna, spowita,
Na ustach bluźnierstwo,...
Nagle krzyk się rozlega! krzyk: Rzeczpospolita!
Wolność i braterstwo!

I świat zbudzony, biegnąc do stopni ołtarza
Na wielki głos gońca,
Jest jako pijak nocny, którego przeraża
Ożywczy blask słońca.

M. Rodoć.

DZIECI HELENY.

POWIEŚĆ.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy).

Następny poranek mógł był zgrozą i zniechęceniem przejąć każdego, tylko nie świeżo przyjętego narzeczonego. Deszcz padał nieustannie, i to z tak zawziętą gorliwością, jakby sobie postanowił przez dzień cały nie opuścić stanowiska. Niebo obleczone było nieprzebitą ołowianą zasłoną; woda zatrzymywała się jeziorkami na ulicach, pokrytych ledwo przed paru godzinami miękką warstwą kurzu; kwiatki pospuszczały obmokłe główki jakby włóczęgi, co całą noc spędziwszy na hulankach, światłu dziennemu w oczy spojrzeć się wstydzą. Nawet kurczęta miały zrozpaczone postawy, a duży kogut Toma tak spokorniał, że dał się schronić pod kojec paru przybłędom z obcego kurnika, nie wystawiwszy wpierw na próbę ich siły i zręczności.

Ale na kogoż znajdującego się w mojem położeniu mogłaby oddziałać chociby i najszkaradniejsza pora? zwłaszcza, że człowiek mego usposobienia w ogóle nie łatwo się daje wpływowi słoty owładnąć; prawda, że byłbym wolał przechadzać się pod pogodnem niebem, lub po obiedzie pójść na pocztę drożyną wiodącą tuż koło wrót p. Clarkson; gdy jednak niepogoda czyniła te przyjemności niemożliwemi, pomyślałem przez associacją idei, że obok mnie, w sąsiednim pokoju, drzemią jeszcze dwie istotki, którym zawdzięczałem tak wiele, a które daleko boleśniej odemnie miały odczuć stan nieba i ziemi. Otóż za zadanie dnia tego wziąłem sobie tak im czas uprzyjemnić, żeby zupełnie zapomniały o nieobecności słońca. Ułożyłem sobie, że będę ich już przy obudzeniu czekał z bajką gotową, i że ich odrazu tak rozweselę i rozbawię, że razem ze mną będą się mogli śmiać z chmur i niepogody.

Zacząłem zaraz improwizować bajkę dla ich specjalnego użytku; rzecz dziać się miała w dworku wiejskim podczas słoty, a bohaterami miało być dwóch małych chłopczyków, którzy mieli się wbrew deszczowi wybornie ubawić. Jak to się zwykle dzieje u ludzi niewprawnych w powieściopisarstwie, opowiadanie moje jakoś nieraźno się rozwijało; prawdę mówiąc, nawet wcale jeszcze nie postąpiło od pierwotnego założenia, gdy naraz doszło mnie jakieś gniewliwe mruczenie z dziecinnego pokoju.

— Cóż tam nowego Edwardku? — zawołałem, ubierając się jak najprędej.

W odpowiedź doszło mnie znowu tylko rozkapryszone mruczenie.

— Co mówisz Edwardku?

— Nic nie mówię.

— A, tak też mi się zdawało.

— Nie zdawało!

— Edziu, Edziu, bądź grzeczny!

— Nie potrzebuję być grzecznym. Co mi tam!

— Zaraz będziemy się bawić Edwardku; czy chcesz jeździć na moim kolanie?

— Nie — nudne jeżdżenie.

— Czy chcesz cukierków, Edwardku?

— Nie — pewno nawet nie masz cukierków, czego obiecujesz?

— Jak tak będziesz kaprysił to pewno że ci nic nie dam.

Za całą odpowiedź doszło mnie jakieś szamotanie i tłumienie się w pościeli, a dalej odgłos zupełnie podobny do klapsa i potem nastąpił przeciągły pisk podobny do skrzypienia niewysmarowanego koła, który coraz to głośniej się rozlegał.

— A cóż tam znów się dzieje, Charleyu?

— Edwar...dek... mnie... udeeeeerzył! — ryczał już Charley.

— Dlaczegoś to zrobił, Edwardku.

— Nie zrobiłem.

— Zrobiłeś! — wrzasnął Charley.

— Mówię ci, że nie. Jesteś brzydki, szkaradny chłopiec, żeby tak kłamać Charlu.

— Powiedzże sam coś zrobił, Edwardku? — spytałem.

— Ja... ja... przewracałem się po łóżku, i... i... moja ręka była wystawiona, i trąciła się o Charleya, i koniec.

Byłem już ubrany więc wszedłem do pokoju chłopców. Obaj siedzieli na łóżku; Edwardek zapyrzony jak stary cietrzew, a Charley skąpany w łzach.

— Chłopcy, — rzekłem, — nie kłóćcie się ze sobą. Cóż sobie Bozia o was pomyśli, jak zobaczy że się tak sprzeczacie?

— Nic nie pomyśli, — zawyrokował Edwardek, — Bozia nie może widzić przez takie czarne niebo.

— I owszem, Edziu, Bozia widzi zawsze i wszędzie, i bardzo jest smutny, gdy się dwóch braciszków sprzecza ze sobą.

— Co mi tam; ja także bardzo smutny jestem; chciałbym żeby nigdy tego szkaradnego deszczu nie było.

— A cóżby wtedy piły trawki i kwiatki; z czegożby były rzeki po których tak pływać lubicie?

— I błoto do lepienia pudingów? jesteś złym chłopcem, Edwardku, — i łzy Charley'a zaczęły płynąć na nowo.

— Nie jestem złym chłopcem, i nie potrzebuję wstawać, i Małgosia musi mi przynieść śniadanie do łóżka.

Charley mazał się swoją drogą:

— Ja także chcę śniadania w łóżeczku.

— Chłopcy, słuchajcie no! — zawołałem — nie dostaniecie żadnego śniadania, gdy nie będziecie ubrani i całkiem gotowi, nim zadzwonią. Już dawno dzwonili na wstawanie; ubierajcież się grzecznie, a po śniadaniu zaraz wam się weselej zrobi, i wujcio Harry będzie się z wami bawił, i opowiadał wam powieści przez cały dzień.

Edwardek ociągając się wylazł z łóżka i podniósł jedną pończochę; Charley na nowo zaczął płakać.

— Charley'u — krzyknąłem na niego, — w tej chwili skończ mi te brewerje i ubieraj się. Czego beczysz?

— Tak mi nudno.

— Więc się ubieraj to ci będzie zabawniej.

— Chcę żebyś ty mnie ubrał.

— No, więc przynieś mi twoje suknie; prędzej. — Znowu łzy puściły się strumieniem: — Nie potrzebuję nic nosić.

— Chodźże tu, — zawołałem, ciągnąc go za rękę przez pokój, i zgromadzając porozwlekane po kątach przybory jego ubrania. Nigdy nie ubierałem małego dziecka, i nawet nie widziałem tej operacji odkąd sam z dzieciństwa wyrosłem; przyznam się więc, że byłem trochę w kłopocie, jak się tu wziąć do rzeczy. Nareszcie udało mi się jakoś włożyć coś na niego, gdy wtem, pogardliwy wybuch śmiechu Edwardka zmięszał mnie i zaniepokoił.

— I jakże myślisz włożyć mu koszulę na wierzch spodniego ubrania? — szydził starszy mój siostrzeniec.

— Edwardku — odciąłem — i jakże myślisz dostać śniadanie, jeśli nie włożysz nic więcej nad tę jedną pończochę?

Pewność siebie młodego gentlemana zachwiała się, a w tejże chwili zabrzmiał dzwonek głoszący, że śniadanie gotowe. Edwardek podniósł zmięszaną na chwilę twarzyczkę, ale wnet pobiegł do schodów i zawołał:

— Małgosiu!

— Co tam Edwardku?

— Czy to na budzenie, czy na śniadanie dzwonili?

— Na śniadanie, Edwardku.

Przez chwilę nastąpiło głuche milczenie, ale potem zawołał rozkazująco.

— No, to nic; nazwiemy to dzwonkiem na budzenie. Możesz sobie, gdy ja będę gotów drugi raz na śniadanie zadzwonić. — Poczem ten samowładca zarządu domowego wrócił spokojnie na swoje miejsce i zaczął się znowu ubierać, podczas gdy ja dalej się mozoliłem z Charley'em.

Przetrząsnąłem mu kieszenie dla znalezienia maszynki do zapinania guzików; ale wyciągnąłem z nich tylko nadkąszoną figę, osowiałą, wpół nieżywą żabę, i kawałek chleba z masłem, co wszystko wyrzucone za okno wywołało krzyk rozpaczy Charley'a. Ze wstrętem zapuściłem rękę w drugą kieszeń, ale gdy ta okazała już tylko śrubkę od maszyny do szycia Helenki, i jedną podwiązkę, musiałem trzewiczki zapinać palcami, obłamując sobie paznokcie, i gniewając się, że śniadanie wystygnie.

Zajęty Charley'em nie mogłem już uważać na Edwardka, ujrzałem go teraz, jak mało co więcej ubrany jak przed pół godziną, stał przy oknie i łapał muchy po szybach.

Chwytając Charley'a za rękę pociągnąłem go ku drzwiom, ale od schodów zawróciła mnie tryumfująca uwaga Edwardka.

— Wujciu Harry, ty sam nie byłeś całkiem ubrany gdy dzwonili, *ty* nie powinieneś dostać śniadania!

Dosyć w tem było prawdy: brakowało mi jeszcze kołnierzyka, krawatki i surduta. Zapinając go na sobie już znów miałem się ku wyjściu, gdy powtórnie zostałem zawrócony:

— Wujciu Harry, czy mam dziś myć zęby szczoteczką?

— Nie, nie, nic już nie rób jeśli chcesz, byleś się pospieszył. Zejdź, choćby tak jak jesteś, ale chodź już raz; obiad podadzą, zanim zjemy śniadanie.

To go nareszcie trochę rozruszało, a widok zastawionego stołu wywołał na jego usta pierwsze od rana słowa, które mogły być uważane za coś w rodzaju dobrego humoru:

— Toż to dopiero będziemy mieli brzuchy, jak to wszystko spakujemy!

Przy siadaniu do stołu Charley mazał się na nowo, ale już nawet nie pytałem o przyczynę. Potem żaden z chłopców nie mógł się zdecydować co będzie jadł, i nie wiedział sam czego chce. Dalej Edwardek postarał się o to, żeby pełny swój talerz wylać sobie na sukienkę; a gdym ja był zajęty usuwaniem śladów tej katastrofy, Charley skorzystał z pory, żeby rybę swoją podlać mlekiem, i parę łyżek swego owsianego kleiku domięszać do mojej kawy. Łatwo się domyśleć, że pragnąłem się co najprędzej uwolnić, przywołałem więc Małgosię i dzieci zdałem na

nią, a sam uciekłem do innego pokoju. Byłem już tak znużony, jakby po całym dniu ciężkiej pracy, to też pobladłem trochę z przerażenia, spostrzegłszy, że to w rzeczywistości ledwo dnia początek. Zapaliłem cygaro i siadłem do fortepianu Heleny. Nie jestem bynajmniej artystą na fortepianie, ale nawet tony harmoniki jarmarcznej byłyby mi owego ranka pożądaną muzyką. Na pulpicie leżał hymn kościelny „Grenville“. Niegdyś do miasta w którem mieszkałem, przyjechał był kramarz, mający na sprzedarz czterdzieści kilka katarynek, wszystkie nastrojone na jeden i ten sam ton i nutę, a nutą ową, było właśnie Grenville. Można sobie wyobrazić, jak mi się ta melodja przelała przez uszy, w kilka lat jeszcze potem sam pierwszy akord tego hymnu budził we mnie najbardziej melancholijne wspomnienia, ale w owej chwili powitałem z przyjemnością dawnego znajomego, i przebaczyłem mu wszystkie udręczenia, jakie dawniej memu gustowi muzykalnemu zadawał. Zaledwie jednak przebiegłem główne moto, uderzył słuch mój dziwny jakiś akompaniament, coś jakby dziesięć popsutych piszczałek dęło i skrzypiało razem. Spojrzałem za siebie i zobaczyłem Charley'a znów we łzach; przerwałem nagle, i zapytałem:

— Cóż ci teraz nowego brakuje, Charley'u?

— Nie potrzebuję brzydkiej, starej kantyczki. Chcę coś wesołego, żebym mógł tańczyć.

Co prędzej zabębniłem „Jankee Doodle“, a Charley zaczął dreptać po pokoju z miną człowieka co postanowił sumiennie wypełnić swoje zdanie. Wkrótce wsunął się do pokoju Edwardek, dźwigając oprawny tom z dzieła „St. Nichola;“ Charley ujrzawszy go ledwie, porzucił taniec i znowu wziął się do beczenia.

— Charley'u — zawołałem porywając się z taburetu, — co ty sobie myślisz tak beksać się o wszystko? każę cię nazad położyć do łóżka, jak będziesz takim mazgajem.

— On zawsze taki gdy deszcz pada, — wytłumaczył Edwardek.

— Chcę widzieć Lewiorybia co z zjadł Jonasza, — łkał Charley.

— Czy nie możesz żądać czegoś więcej możliwego, Charlu? — spytałem łagodniej.

— Ten wieloryb, o którym on mówi, jest w dużej, czerwonej książce, zaraz ci znajdę — powiedział Edwardek przewracając kartki.

Gdy uradowany krzyk oznajmił mi, że znaleziono cel poszukiwania, pochyliłem się by mu się lepiej przypatrzeć. Było to w ogóle straszne stworzenie, ale zwłaszcza potworną miało paszczękę; Charley jednak głaskał ją swoją pulchną rączką, i całował różowemi usteczkami, szepcząc w pieszczocie:

— Kochany lewiorybiu, śliczny lewiorybiu kocham cię strasznie! Czy Jonasz już całkiem wylazł z ciebie? czy nic z niego nie zostało? Widzisz mój lewiorybie, Jonasz był bardzo poczciwy, że ci się dał tak zjeść właśnie gdy byłeś głodny, mój ty biedny, biedny lewiorybiu, drogi!

— Naturalnie, że z Jonasza nic już nie zostało, — rzekł Edwardek? — Jonasz już dawno poszedł do nieba; zaraz potem jak był w Niniwie, i zrobił co mu Bozia kazał; ale powinien był zrobić to jeszcze pierwej, bo Bozi zaraz słuchać potrzeba. Teraz chodź nas huśtać wujciu.

Huśtawka była pod werandą, zasłonięta od deszczu, więc poszedłem tam z nimi. Każdy z chłopców napierał się, żebym go pierwej huśtał, a gdy spór ten rozstrzygnąłem na korzyść Edwardka, Charley odszedł z płaczem mówiąc, że „taki pójdzie patrzeć się na swego kochanego lewiorybia.“ Wnet jednak mazganie się jego zamieniło się w krzyk przeraźliwy; pobiegłem chcąc zobaczyć, czy mu jakiej pomocy nie potrzeba, i zastałem go jak tkliwie oglądał jeden paluszek, a nóżkami zadeptywał leżącą na ziemi osę.

— Co to ci się stało, Charley'u?

— Szkaradna, niegrzeczna osa! tylko ją chciałem pogłaskać, zaraz ugryzła mnie w palec! Brzydka, nie dobra! nie kocham jej wcale, kocham tylko lewiorybia i mamę! Mamo, mamo!

Przyszła mi myśl szczęśliwa. „Chłopcy — zawołałem — bawcie się w wieloryba' niech nim będzie ta duża próżna paczka, co jest w waszym pokoju.

Podwójny okrzyk radości przyjął ten pomysł i chłopcy na wyścigi pobiegli na górę; co do mnie, udałem się do siebie. Z wyrzutem sumienia spojrzałem na cały stół zarzucony książkami, które z sobą do studjów przywiozłem; jednakże głos ten sumienia nie był dość silny, żeby mnie skłonić do zajęcia się niemi; w zamian pokusa pociągnęła mnie do bibljoteki Toma, gdzie zacząłem przeglądać wypisane na grzbietach tytuły najnowszych romansów i poezji. Wreszcie oczy moje zatrzymały się na „Initiale“, powieści, której dotąd unikałem starannie, bom słyszał, że uczuciowe panny za nią szalały; w obecnem mojem usposobieniu jednak wziąłem ją skwapliwie do ręki, i zagłębiwszy się w fotelu, zacząłem czytać. Naraz doszedł mnie tubalny głos Filipa woźnicy:

— O rety! złaź mi ztamtąd natychmiast! Coby to tato powiedział, gdyby cię tam zobaczył? A ty urwisie! złaź mi zaraz, bo pójdę do wujcia!

— Co mi tam brzydki, stary wujcio — zapiszczał głos Charley'a.

Z westchnieniem położyłem książkę i wyszedłem do ogrodu; Filip spostrzegłszy mnie zawołał:

— Master Harry, chodź no tu pan prędko na pomoc! czyś pan kiedy widział co podobnego! Podniosłszy głowę w górę, ujrzałem mego młodszego siostrzeńca stojącego na zewnętrznym gzymsie okna dziecinnego pokoju.

— Charley'u, wleź mi zaraz nazad do pokoju — zawołałem podbiegając bliżej aby go schwycić gdyby leciał.

— Nie mogę — oświadczył chłopak.

— Filipie, pobiegnij na górę i zdejm go ztamtąd. Mówię ci, Charley'u, złaź mi zaraz, bo źle będzie z tobą.

— Mówię ci, że nie mogę — powtórzył stanowczo Charley. — Duża paczka jest lewiorybiem, a ja Jonaszem, i już mnie raz połknął, więc muszę tu stać teraz, żeby mnie drugi raz nie połknął.

— Ja mu nie pozwolę cię połknąć, złaź teraz, prędko.

— A dasz lewiorybiowi grosik, żeby mnie nie połknął?

— Tak, tak, całą garść groszy. Złaź.

— Tak, to dobrze. Lewiorybiu! już mnie nie połknij jeszcze, a wujcio Harry da ci całą garść grosików. Bądź teraz bardzo grzeczny lewiorybiu, a ja ci kupię cukru owsianego za twoje grosiki, i wujcio..

Dwie wielkie ręce chwyciły Charley'a z tyłu, i zniknął z okna krzycząc ze złości. Ja zaś, pierwszy raz w życiu czując, że mi się słabo robi, poszedłem szukać młotka, gwoździ i jakiego kawałka deski, żeby zabić zewnętrzną stronę okna. Ale nie mogąc znaleść potrzebnej deszczułki, udałem się wprost do pokoju dzieci, i zacząłem odłupywać kawałek owej paczki, która służyła za wielorybia. Żałośny okrzyk Charle'ya zatrzymał mnie.

— Wujciu, kaleczysz mego kochanego lewiorybia! łamiesz mu wszystkie kości; ja nie chcę żebyś krajał mego lewiorybia! — beczał mój siostrzeniec.

— Ja mu nic złego nie robię, Charley'u — odrzekłem — tylko mu buzię rozszerzam, żeby mu łatwiej było cię połknąć.

Jasna myśl błysnęła widać Charley'owi, bo twarzyczka jego rozpromieniła się pod łzami: Więc będzie mógł połknąć i Edwardka, i będzie razem dwóch Jonaszów! ha-ha-ha! Zrób mu taką dużą buzię, żeby mógł połknąć i Filipa, a potem zrób żeby znów była mała, i żeby Filip nie mógł wyleźć. Stary, szkaradny Filip!

Powiedziałem, że Filip już drugi raz nie przyjdzie na górę, i ubezpieczywszy okno, wróciłem do bibljoteki. (C. d. n.)

KORESPONDENCJE

Paryż dnia 23. Lutego.

Do ciekawych zjawisk obecnej chwili ma niezaprzeczone prawo nowy kościół gallikański, założony w Paryżu przez sławnego niegdyś kaznodzieję, Ojca Hjacentego, a dziś, po zerwaniu z kościołem katolickim, po zrzuceniu habitu dominikańskiego i po wstąpieniu w śluby małżeńskie, nazywanego po prostu panem Hjacentym Loison.

Uroczyste otwarcie nowego kościoła odbyło się w niedzielę 9. b. m., w miejscu, gdzie dawniej była sala ludowych zabaw, folies Montholon, co dało powód dowcipnym zawsze Paryżanom do nazwania kaplicy gallikańskiej, folies Loison.

W żarcie jest często połowa prawdy, być też może, że dzieło pana Loison słusznie nazwano śmiesznością a sam się nie długo przekona, że dla niego właściwszą była droga Lamenais'go aniżeli księdza Chutela albo Ojca Enfantin'a.

Powiadają powszechnie, że pan Loison jest człowiekiem uczciwym, a do tego wielce liberalnym. Któż z bezstronnych odmawiał tych przymiotów księdzu Lamenais-mu?

Któż nie podziwiał potęgi wymowy i argumentów, z jaką walczył przeciw „błędom Rzymu“, a nie uwielbiał tych natchnionych hymnów, któremi sławił wolność i bronił uciemiężone ludy? Ale Lamenais wiedział zarazem o czem pan Loison zapomina, że najsłuszniejsza nawet krytyka teorji i czynów kościelnych nie wystarcza do założenia trwałych fundamentów jakiego kościoła, że w naszym wieku druga budowa protestantyzmu albo katolicyzmu jest niemożliwą.

Pana Loison najsilniej poróżniły z Rzymem nowe dogmata o niepokalanem poczęciu, o nieomylności papieża, owe cuda w Lourdes i w Salette, owe szczególne adoracje serca Jezusowego, które tak zdumiewające zrobiły wrażenie na ludziach nawet gorąco religijnych, że już dzisiaj najwyższa władza kościelna, stara się zmniejszyć, złagodzić ile możności, te zabobonne praktyki. W gruncie rzeczy p. Loison chciałby sprowadzić kościół katolicki do jego kolebki, do jego pierwotnej prostoty, chciałby go obnażyć ze wszystkich nabytków, które mu wieki głębokiej

wiary przyniosły. Nowego nic nie pragnie. Na przeczącej tylko doktrynie buduje świątynię nazwaną kościołem gallikańskim. Dla czego zaś gallikańskim? Niewiadomo, tak jest bowiem do niego niepodobnym jak protestantyzm lub tak nazwany staro-katolicyzm niemiecki. Pierwszemu nie dorówna, bo przyszedł za późno; drugiego na gruncie francuskim nie zaszczepi, bo mu brakuje interesu i opieki księcia kanclerza.

Prawdopodobnie, nowy kościół gallikański umrze, jak się wyraził jeden z tutejszych dzienników republikańskich, powolną śmiercią obojętności, a pan Loison pozostanie pasterzem bez owieczek.

Na naszym polskim horyzoncie pojawił się w tych czasach wiele obiecujący pracownik w dziedzinie badań historycznych, pan Michał Żmigrodzki, młodzieniec wytrwałej pracy i głębokiej już nauki, znany przed dziesięciu laty niektórym uczonym w Krakowie, a pomiędzy nimi śp. Wincentemu Polowi który wywarł na niego stanowczy wpływ w kierunku geograficznym i etnograficznym. Tym też naukom, „jak w ogólności historji cywilizacji, sztuk i archeologii oddawał się z zapałem przez długi swój pobyt w Monachium (1871 do 1878), gdzie pozyskał szacunek i przyjaźń swych znakomitych profesorów. Jako członek towarzystwa antropologów monachijskich, miał tam trzy poważne odczyty: w 1875 o starożytnościach przedhistorycznych w Krakowie; w 1877 wstęp do studjów etnologicznych w ogólności; w 1878 zaś o Matce u plemion aryjskich.

Przybywszy przed kilku miesiącami na dłuższy pobyt do Paryża pan Żmigrodzki nie tracił czasu, bo już 5. b. m. czytał na posiedzeniu tow. historyczno-literackiego nową rozprawę pod tytułem: „Zarys historji cywilizacji Polski w jej pierwszej epoce, to jest od jej zorganizowania się aż do 1078 roku,“ pracę tę sam prelegent nazwał dopiero programem do dalszych studjów, przy obecnym bowiem zasobie materjałów historyczno-cywilizacyjnych jakie posiada, tylko dwa rozdziały: o rozwoju stosunków *religijnych* i stosunków *społecznych*, mógł ująć w pewne i stanowcze formy. Rozdziały zaś: życie rodzinne; archeologja owego wieku; sztuka i nauka; stosunki wojenne i stosunki finansowe, potrzebują jeszcze przygotowawczej pracy, a to przez zbieranie materjałów naukowych nie tyle w obszarach samej Polski, ile po za granicami jej, to jest w krajach zkąd te stosunki odbierały najwięcej podniety do rozwoju. Co do sztuki naprzykład, trzeba materjały zbierać w Niemczech i we Włoszech; co do rozwoju rycerstwa w Bawarji i Danji itp. — prelegent przedstawił tylko program jak te studja prowadzić należy, popierając go pojedyńczymi przykładami w tym lub owym punkcie, do którego już mu się udało zebrać odpowiednie materjały. W ogólności p. Z. nie tyle stara stę o odkrycie nowych szczegółów ówczesnych dziejów, ile o sformowanie systemu historyczno cywilizacyjnego z zebranego już i krytycznie opracowanego zasobu faktów, a przez zestawienie tych faktów z dziejami ludów mających wówczas stosunki z Polską, stara się o większe lub nowe rozwikłanie tych dróg, na których rozwijały się nasze stosunki życiowe w tej początkowej dobie.

Odczyt pana Z. słuchanym był z wielkiem zajęciem, dalszy ciąg jego będzie miał miejsce na przyszłem posiedzeniu Towarzystwa historyczno-literackiego.

A teraz niech mi wolno będzie dotknąć jednej ważnej kwestji prawnej, obchodzącej mianowicie rodaków naszych mieszkających we Francji. W emigracji nie mamy żadnego organu publicznego, może też za pośrednictwem *Tygodnia polskiego* dostanie się do innych dzienników krajowych, a następnie do osób, których ta kwestja szczególniej interesować może. Oto jej krótkie przedstawienie:

Śp. jenerał Mierosławski ustanowił legatorem uniwersalnym i wykonawcą swego testamentu niejakiego pana Lemoina (nie redaktora Debatów jak to mylnie doniesiono), przyjaciela od lat 40tu, powiernika i plenipotenta swego we wszystkich sprawach prywatnych. Otóż pan Lemoine, człowiek bardzo ostrożny i nieśmiały, w wykonaniu testamentu nie chciał pominąć najmniejszej formalności prawnej, nawet takiej, bez której obejść by się można, a pomiędzy temi spotkał się z dwiema, które tamowały wszelki postęp w uregulowaniu spadku, to jest z prawem zwyczajowem, contreine, nakazującem złożyć świadectwo odpowiedniego konsula, że prawo kraju z którego zmarły pochodzi, nie sprzeciwia się wykonaniu jego testamentu we Francji; powtóre z konwencją dyplomatyczną zawartą pomiędzy Francją a Rosją 1874, mocą której potwierdzony został dawny zwyczaj oddawania sukcesji *krajowców* pod zarząd wzajemnych konsulów, to jest sukcesji Francuzów zmarłych w Rosji pod zarząd konsulów francuskich, a sukcesji Rosjan zmarłych we Francji pod zarząd konsulów rosyjskich. Ztąd wynikało, że do spisania pozostałości po śp. Mierosławskim, do przejrzenia papierów, do wykonania nawet jego testamentu, potrzeba było interwencji konsula rossyjskiego. Łatwo pojąć, z jaką zgrozą przyjętą została podobna myśl, jak silnie zaprotestowali przeciwko niej wszyscy ci którzy szanują godność narodową i pamięć znakomitego patrjoty polskiego. Zwyczaje i konwencje dyplomatyczne, o których wyżej mowa stosują się do wypadków zwyczajnych, do krajowców, nationaux, ale nie do tak wyjątkowego położenia jak śp. Mierosławskiego, wszak jego do rzędu krajowców rossyjskich w żaden sposób podciągnąć nie można. Zresztą czyż podobna przypuścić, ażeby Francja, która śp. Mierosławskiego, urodzonego na jej ziemi, przez 50 kilka lat swoją gościnnością i swojemi prawami osłaniała, po śmierci oddała go na łaskę i niełaskę najsroższych wrogów jego Ojczyzny, przeciwko którym walczył słowem, piórem i orężem całe życie? Tego rodzaju argumenta musiały oczywiście wywrzeć silne wrażenie na prawników francuskich, a jednak sąd wahał się z wydaniem upoważnienia do pominięcia tyle wstrętnych formalności, i bylibyśmy w wielkim kłopocie gdyby zbyteczna gorliwość sędziego pokoju, wmięszanego w tę sprawę, nie była sprowadziła oświadczenia konsula rosyjskiego, że w interesa sukcesyjne emigrantów polskich wcale się mięszać nie myśli. A więc konsulowi rosyjskiemu a nie prawu francuskiemu winniśmy, że sukcesja śp. Mierosławskiego została uwolnioną od tak niemiłej a nawet niebezpiecznej opieki. Kwestja jednak nierozstrzygniona jeszcze, na łasce konsula rosyjskiego pozostać nie możemy i mamy słuszne powody do sądzenia, że ta sprawa na drodze właściwej znajdzie zadowalniające nas rozwiązanie.

Piśmiennictwo polskie.

Pogadanki i spostrzeżenia z dziedziny fizjologii, psychologii, pedagogiki i nauk przyrodniczych przez Juliana Ochorowicza, dr. filozofii, docenta psychologii i filozofii natury w uniwersytecie lwowskim. Warszawa. 1879.

W zbiorku tym znajdujemy artykuły, znane już czytającej publicz. z czasowych pism, w których były drukowane. Chociaż więc nie jednemu z czytelników wypadnie spotkać się w tej książeczce z dawnym swym znajomym—nietylko na tym nic nie straci, ale przeciwnie wiele zyskac może. Jakkolwiekbowiem każdy artykuł stanowi tu pewną całość, z tem wszystkiem, ze względu na treść swą, na przedmiot, którym się zajmują, a którym jest natura ludzka, z różnych stron rozważana, łączą się z sobą jak najściślej i wzajemnie się uzupełniają. Dodać do tego należy, że sposób przedstawienia rzeczy jest tak udatny, tak przystępny dla każdego pod względem metody i tak ujmujący pod względem stylu, że ten sam artykuł można przeczytać i razy kilka bez znudzenia.

Pogadanki i spostrzeżenia, pomimo, że traktują o bardzo poważnych rzeczach i w sposób poważny, mogą być czytane przez wszystkich w ogóle, bez względu na naukowe wykształcenie. Do ich zrozumienia trzeba tylko mieć dobrą wolę i zainteresowanie się do tego, co powinno stanowić najgłówniejszy przedmiot naszej wiedzy, poznanie natury ludzkiej, a jako dalsze tego następstwo, poznanie samego siebie. Z książki pana Ochorowicza dowiedzą się czytelnicy, jaka jest natura zmysłowych wrażeń, które są jedynem źródłem naszych pojęć i uczuć, jedyną podstawą naszego psychicznego życia; dowiedzą się z niej, jaki zachodzi stosunek między objawami psychicznemi, a sprawami cielesnej naszej strony, a mianowicie, że najszzzytniejsze nasze myśli, najgłębsze nasze uczucia mają swój równoważnik w pewnych procesach fizjologicznych, dających się sprowadzić do jednego mianownika, którym jest zużycie się materji naszego organizmu.

Czytelniczkom zalecamy przedewszstkiem artykuł o właściwościach charakterów kobiecych. Jakie będzie zdanie ich o tym artykule po przeczytaniu, nie wiemy, ze swojem zaś narzucać się im nie chcemy.

Wl. Kozłowski.

Obraz ogólny postępu społeczeństw ludzkich. Skreślił, Oskar Żebrowski. Paryż, 1879 r.

Zadaniem tego dziełka, jak sam autor powiada w przedmowie, jest „wtajemniczenie się w naturę dziejów człowieka i wykrycie myśli przewódczej jego postępu.“ Jestto więc, jak widzimy, zarys filozofii historji.

Pan Żebrowski nie jest u nas pierwszym, który na tem polu stawia kroki; przed nim pracowali już w tym kierunku Hoene-Wroński, Cieszkowski, Szczeniowski, Majorkiewicz. Dzieła tych filozofów, różne pod względem talentu, mają to wspólnego, że poczęte w duchu panującej wówczas spekulacyjnej filozofii, rozprawiały o dziejach ludzkości nie podług tego, co w tych dziejach znajdowały, ale podług tego, co im w nich upatrywać nakazywała ta lub inna filozofia. Historja była dla nich tylko niewyczerpaną skarbnicą przykładów, któremi się posługiwano w celu unaocznienia dedukcyjnych wywodów; to

*

eż w ręku każdego filozofa wyglądała ona inaczej i co innego mówiła stosownie do życzeń, do powziętych z góry założeń. Czy usiłowanie p. Żebrowskiego jest pod tym względem szczęśliwsze? Odpowiedź na to pytanie zależna jest od drugiego pytania, a mianowicie: jakiej metody trzyma się autor w swych badaniach? Metodę swą autor dokładnie określą w przedmowie: „Nie religja, ani polityka dają początkowanie w postępie człowieka, owszem są one wypływem potrzeb naszego umysłu i według nich się kształtują... człowiek sam natchnieniem wyższem się kierował i dzisiejszy wzniosły rozwój jego pokazuje, że jest w nim wewnętrzna siła, która jest bodźcem wszystkich działań jego na ziemi. Siła ta jestto właśnie *umysł*. Wyjście więc nowszych poszukiwań będzie *wyprowadzenie* z władz umysłowych człowieka *ciągu i następstwa* wypadków dziejowych, które łatwo wykażą nietylko uszczeblowanie ale znamiona wybitne epok i okresów działalności powszechnej rodu ludzkiego.“ Metoda więc autora jest czysto dedukcyjna, która do jakich wiedzie rezultatów—powiedzieliśmy wyżej. Jeśli się nie mylimy, autor jest wyznawcą zasad Hoene-Wrońskiego. Dziełko jego, pomimo wielu zalet, wielu trafnych i zdrowych na rzecz poglądów, a przedewszystkiem pewnej trzeźwości myśli, wolnej od mystycyzmu, jest w obecnej chwili anachronizmem. Przed laty dwudziestu cieszyłoby się ono powszechnem uznaniem — dzisiaj, kiedy od filozofii historji czego innego wymagamy, nie naciągania faktów do ułożonego z góry szematyzmu, nie dowolnego wtłaczania ich w gotowe, nie na ich wymiar sporządzone ramki, dziełko p. Żebrowskiego może mieć chyba tylko bibliograficzną wartość. W każdym razie, drugą część dziełka p. Żebrowskiego, przedstawiającą obraz przeszłości, z przyjemnością można przeczytać i z korzyścią dla wielu trafnych spostrzeżeń i poglądów. Ożywia ją duch wolności i postępu. Nie można tego samego powiedzieć o pierwszej części, która przepełniona suchemi wywodami, prawdziwie scholastycznem szematyzowaniem, nuży w czytaniu i męczy uwagę czytelnika, którego myśl, schwycona wirem abstrakcyjnych pojęć, nie może upatrzyć dla siebie żadnego punktu oparcia.

Język dziełka, lubo w ogóle czysty, gorszy przecież czasami zwrotami francuskiemi, albo też wyrazami takiemi, jak: zespol, uzespolenie, ostęp dziejowy i kilka innych jeszcze.

Oprócz powyższego dziełka, wydał pan Żebrowski jeszcze inne, z których wymieniamy, jako bezpośrednio naszych dziejów dotyczące: O przyczynach wzrostu i upadku państwa polskiego. Paryż. 1846 r.

Wł. Kozłowski.

J. I. Kraszewski. Powieści historyczne. V. Boleszczyce, powieść z czasów Bolesława Szczodrego. Kraków 1877.

Historja Bolesława Szczodrego, czyli Śmiałego i męczeństwo biskupa krakowskiego, Stanisława, w ostatnich czasach podległa obszernej krytyce i stała się przedmiotem gwałtownych polemik oraz rozdwojenia między naszymi historykami. Do niedawna wszyscy nasi dziejopisowie szli w opowiadaniu historji Bolesława i Szczepanowskiego za Długoszem, przedstawiającym walecznego króla w najczarniejszych kolorach, jako gwałciciela praw ludzkich i boskich, świętokradzcę okrutnego i cudzołożnika, biskupa zaś jako ideał Chrystusowego pasterza, pełnego cnót wszelakich, obrońcę uciśnionego ludu i męczennika bez winy i skazy. Nowsi nieuprzedzeni historycy, powołali się na bardziej autentyczne świadectwa pierwszego naszego kronikarza, Gallusa, choćby już z tego powodu zasługującego na większą wiarę niż Długosz, że żył prawie bezpośrednio po panowaniu Bolesława Szczodrego. Jakoż nie usprawiedliwiając bynajmniej zbrodni królewskiej, przedstawia nam postać Stanisława Szczepanowskiego w zupełnie odmiennem świetle. Podług niego biskup stał na czele partji możnowładców, którym nie na rękę był wzrost potęgi królewskiej i popełnił zdradę kraju wdając się w konszachty z Czechami i zachęcając ich do wojny z własnym królem w imię interesów kasty. Opowiadanie Gallusa, bardziej naturalne i proste, jest daleko prawdopodobniejsze od legendy Długoszowej, zawierającej sporo reminiscencyj o hebrajskich prorokach, karcących monarchów za niebogobojny i rozpustny żywot. Kraszewski w Boleszczycach trzymał się głównie podania Długoszowego, i dlatego też według nas *Boleszczyce* są właściwie legendą, a nie powieścią historyczną. Jestto zarzut nie mały, ale nie rzucamy go bezpodstawnie nie zastanowiwszy się poprzednio. Powieść historyczna nie powinna opisywać tylko fakty dziejowe, ale intuicyjnie badać motywa takowych, w przeciwnym razie będzie opowiadaniem, ale nie powieścią. Zdaje nam się, że pod względem artystycznym inaczej dziejów Bolesława i biskupa Szczepanowskiego pojąć nie można, tylko w ten sposób: obaj są reprezentantami pewnych wielkich idei, idee te walczą ze sobą w ich osobach nie przebierając w środkach, i na jedną i na drugą z stron walczących spada wina. Stosunki są tak naprężone, że sprawa inaczej się rozwikłać nie może tylko zwycięstwem jednej idei, a upadkiem drugiej. Bolesław i Szczepanowski czują to dobrze, i obaj znużeni długoletnią walką, chwytają się ostatecznych środków, aby pokonać przeciwnika: w ostatniem stadjum tej walki idzie już nie o upokorzenie, ale o śmierć idei i człowieka. Obydwaj olbrzymi zapaśnicy, każdy chwyta za broń swoją śmiertelną: biskup za gromy klątwy kościelnej, król za szczerbiec, którym błyskał w Kijowie. Bolesław zwyciężył materjalnie, biskup skazany na śmierć, idea męczennika zwyciężyła duchowo przynajmniej na długie wieki. Historja Bolesława Śmiałego w ten sposób pojęta, jest świetnym materjałem do powieści na tle dziejowym lub dramatu. Jakąż siłę można rozwinąć z konfliktu dwóch potężnych idei, reprezentowanych przez równie potężne charaktery!... Kraszewski musiał mieć ważne powody, dla których poświęcił dramatyczną siłę sytuacji i poszedł za Długoszowem opowiadaniem, zarysował jednak obie główne postacie powieści w taki sam sposób, jak my się na nie zapatrujemy, ale poprzestał tylko na konturach. Idąc za Długoszem, nie mógł autor pominąć zwykłych w owym czasie wybryków miłosnych Szczodrego, które miały ostatecznie skłonić biskupa do upominania króla i rzucenia następnie na niego klątwy. Uwiedzenie Krysty, żony władyki Mścisława z Bużenina stanowi miłosny materjał powieści, obrobiony i wyzyskany znakomicie przez autora. Intryga miłośna w *Boleszczycach* łączy się z opowiadaniem dziejowem w sposób bardzo zręczny, tak ściśle, że romans staje się historją, historja romansem... Ze wszystkich postaci w tej powieści najwspanialej przedstawia nam się stary Odolaj Jastrzębiec, głowa słynnego rycerskiego rodu, prawdziwy patrjarcha, surowy, prawy, szlachetny, miłujący sprawiedliwość i honor gniazda, nadewszystko, nad życie. Obok niego pod względem wydatności rysunku postawilibyśmy Mścisława z Bużenina, skończony typ człowieka słabego, bo kochającego, dla którego krom nadobnego liczka Krysty nic nie ma na świecie. Równie świetną jest charakterystyka rycerzy Szczodrego, zwanych Boleszczycami, od których powieść miano swe wzięła... Wszystkie wady i zalety średniowiecznego rycerstwa, kojarzą się w tych dzielnych mężach w węzeł nie rozerwany: Krewcy są bo młodzi, nie raz wykroczą przeciw Bogu i ludziom, ale któż zrówna się z nimi w waleczności, w wytrwałości, w przywiązaniu bezwarunkowem do króla, którego czczą i kochają, jako najdzielniejszego z swego grona. Wszyscy go opuszczą, klątwa kościelna i krew męczeńska zamordowanego przy świętej ofierze biskupa rozprószą całą jego rodzinę, wyprą go się wszyscy, ale wierna garstka Boleszczyców nie zważając na wzgardę świata i duszne zbawienie, pójdzie z nim razem na wygnanie, bo on zawsze dla nich królem, zawsze dzielnym Bolesławem! Z pomiędzy kilku wersyj o ostatnich latach życia Szczodrego wybrał autor, jak się można spodziewać, najpoetyczniejszą i każe mu pokutować za ciężkie winy w klasztorze Benedyktynów w Ossiaku. Tam go znachodzą dawni towarzysze broni w habicie braciszka, najcięższemi pokutami błagającego Boga o przebaczenie winy. Wielki potomek Chrobrego, spadkobierca jego sławy i myśli państwowej skonał, jako nieznany braciszek w cudzoziemskim klasztorze, a prosty kamień grobowy znaczy miejsce, gdzie jego zwłoki spoczywają.

Koloryt czasu w *Boleszczycach* wybornie jest zchwycony, czytelnik czuje się przeniesionym w ową zamierzchłą epokę, a mimo to czuje się swojskim w tem otoczeniu. Chociaż jak już powiedzieliśmy, autor niedostatecznie wyzyskał dramatyczność sytuacyj, któreby wypłynęły z bardziej realnego pojęcia charakterów, głównych działaczy, nie brak jednak w *Boleszczycach* scen o wysokim tragicznym nastroju. Scena rzucenia klątwy, jest arcydziełem. Zdaje się, że zbytecznem dodawać, że tak jak w poprzednich powieściach tego cyklu, tak i w *Boleszczycach*, rozwinął autor wszystkie skarby oryginalnego obrazowania i przepięknego języka.

B. Cz.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Lwów dnia 27. lutego.

Wobec socjalizmu, który mimo stale utrzymywanej kontumacji moralnej w Krakowie, wybuchnął tam przed kilku dniami, sprawa dżumy zeszła na drugi plan. Doktor Botkin i sam corpus delicti dżumowy Prokopiew, obstają przy swojem, zaś rada lekarska miasta Petersburga obwinia tego biedaka, o taką chorobę, że jeżeli wyzdrowieje kiedy, nie będzie śmiał w całej Europie pokazać się w żadnem porządnem towarzystwie... Prokopiew od razu doczekał się rozgłosu takiego, że dla obejrzenia jego oblicza ministerjum pruskie wysyła aż czterech lekarzy. Tymczasem Moskale z powodu, że u nich karnawał jeszcze się nie skończył, ciągle tańczują z europejską komisją sanitarną; przynajmniej to

co donosi Dr. Biesiadecki zakrawa na intencję, aby ta sama komisja na własnych osobach mogła doświadczyć choroby, która nie istnieje. Raczyli ją w Warszawie, fetowali w Moskwie, dopóki nie uprzątnięto chorych z Carycyna. W tem mieście jeneral-gubernator od Dżumy, (Moskale bowiem na wszystko mają jeneral-gubernatorów), delektował się komisją, dopóki nie uprzątnięto zadżumionych z Czarnego Jaru. Dr. Biesiadecki zastał tylko spalone domy, a nim odsiedzi dziesięciodniową kwarantannę, znowu w Wentlance zastanie zgliszcza po dżumie i tak dalej dojedzie do Astrachania... Już to Moskale potrafią każdego wyprowadzić w pole i wodzić całą Europę za nos, dobrze jej tak, skoro się da!

Co innego zupełnie z naszym socjalizmem, ten, jak *Czas* zapewnia, wybuchł pod murami krakowskiej policji z takim skutkiem, że wybił szyb kilkanaście i zatrząsł świętem miastem... Ot, gdybyśmy tu we Lwowie mieli mniej chrześćjańskiej miłości bliźniego niż mamy, tobyśmy grubo się śmiali z tak fatalnej przygody Krakowa. Ale nie! Przeciwnie, wszyscy tu żałują miłego staruszka, że mu swawolne chłopaki spać nie dają wyprawiając o godzinie dziewiątej w nocy takie harmidery po ulicach... Hultaje, nie umieją poszanować siwej głowy; u nas by tego nie było, bo mamy taką policję, która nie tylko drukować, ale nawet roznosić nie pozwala pism nawet dokładnie desinfekcjonowanych w c. k. Prokuratorji.

Wskutek takich wypadków w Krakowie, wskutek aresztowań, rewizji i śledzeń za roznosicielami socjalizmu, nasze pisma perjodyczne pozwoliły sobie w rozmaity sposób traktować tę przez szanownego pana Bismarka odszukaną kastę spiskowców. I my wielką mielibyśmy ochotę wsadzić także swoje trzy grosze do tej sprawy, chociaż z innego zupełnie stanowiska, ale że to nie zawsze może być bezpieczną rozprawa o rzeczach dostępnych ocenieniu c. k. Prokuratorji, więc do czasu wykrycia zbrodniczych usiłowań tych indywiduów pochwyconych w Krakowie, wstrzymujemy się z naszymi poglądami. Ograniczamy się tylko na przytoczeniu dowcipnego określenia wybryków ludzkich przez jednego z francuskich ekonomistów: Znakomity ten mąż powiedział, że ludzie którym jest bardzo dobrze na świecie, lubią swawolić... No, co do tego, to pewnie nas nikt nie posądzi. Dalej, ludzie, którym dobrze na świecie, zazwyczaj siedzą cicho, co podług naszego przekonania, ma miejsce we Lwowie. A tylko ludzie, którym jest źle, to się burzą i spiskują... Więc usuńce złe, a nikt się nie będzie burzył.., zdaje się, że to jest najradykalniejsze lekarstwo na wszelki socjalizm. Od wielu osób przybywających z Kongresówki dowiadujemy się, że teorje socjalistyczne bardzo się tam rozszerzają pomiędzy młodzieżą, którą rząd odsuwa od wszelkich urzędów i zajęć mogących im utrzymanie zapewnić.

Nic też dziwnego, że ludzie ci odebrawszy jakie takie wykształcenie, i nie mając żadnej nadziei wyrobienia sobie jakiegobądź stanowiska i bytu w społeczeństwie, z rozpaczy prawie rzucają się do najskrajniejszych przekonań i siły swej inteligencji zużywają na przeprowadzenie idei, która, jak sądzą, powróci im prawa człowiecze. Socjalizm w Niemczech, Angjli i Francji, zupełnie ma inną rację bytu niż w Rosji. W tamtych krajach przeważnie hołdują mu klasy robocze, gdy w Moskwie, tak zwany proletarjat inteligencji... Cywilizacja i wykształcenie poznajomiwszy człowieka z jego prawami, rozbudzają pragnienie korzystania z ulepszonych dogodności życia cywilizacyjnego, gdy rzeczywistość stawiając zapory tym pragnieniom, a nawet usuwając je umyślnie, wyradza gorycz, poczucie niesprawiedliwości, nienawiść, chęć zemsty i tyle innych rzeczy prowadzących do nihilizmu. U nas, dzięki Bogu, tego jeszcze nie ma, choć proletarjat inteligencji zaczyna się pojawiać między ubogą młodzieżą i ludźmi, którzy posiadając odpowiednie wykształcenie, nie mogą znaleść pracy. Jeżeli ułatwiamy możność wyższego kształcenia młodzieży, jeżeli zaprowadzamy nowe Zakłady naukowe, zachęcamy, udzielamy stypendja, to wypadałoby pomyśleć i o tem, aby kraj czy społeczeństwo dały tym ludziom pracę odpowiednią i zajęcie, i nie pozwalałyby aby z kwalifikacją w kieszeni, marli z głodu. Jeżeli zarząd kolei może sposobem proskrypcyjnym od razu pozbawić chleba kilkudziesięciu familji dla zrobienia miejsca obcemu proletarjatowi, jeżeli nasi technicy, prawnicy, inżynierowie itp. nie mając w kraju zajęcia, muszą żyć z dnia na dzień, i jeżeli gromady oficjalistów prywatnych bez zajęcia siedzą po miasteczkach niemogąc znaleźć pomieszczenia, które żydzi zajęli, to jakże się dziwić że socjalizm próbuje w tym żywiole szukać adherentów...

Dlatego kraj powinien zrozumieć dobre intencje Wydziału krajowego, który wciąż występuje z projektami dążącemi do rozbudzenia jakiegobądź ruchu przemysłowego w Galicji. Dlatego sejm nie powinien tamować tych dobrych chęci i zrozumieć, że to jest czas i wielki czas na usuwanie złego. Wprawdzie tymczasowość panująca od kilkunastu lat w Europie, wszędzie tamuje rozwój przemysłu i handlu,—ale że ta tymczasowość zaczyna być chroniczną, trzeba ją przyjąć w rachubę i nie czekać lepszych czasów, które mogą nie nadejść.

Widzimy ze sprawozdań ostatniego zebrania Towarzystwa oficjalistów prywatnych, że ono wziąwszy się raz do dzieła, rozwija się coraz lepiej, i dziś już posiada 222.684 złr. stałego majątku, a 1651 członków. Od roku 1873 rozdaje ono stałe wsparcia niezdolnym do pracy uczestnikom, ich wdowom i sierotom, a jednak prócz tych wydatków które w ostatnim roku wynosiły przeszło 7.400 złr. powiększa nieustannie żelazny swój kapitał i w krótkim czasie stanie się potęgą daleko skuteczniej oddziaływującą przeciw socjalizmowi, niż wszystkie prawa zawotowane przez parlament niemiecki, niż wszystkie śledztwa i wyroki sądów. Z tego się pokazuje, że może się u nas coś udać, jeżeli znajdą się ludzie, którzy zamiast potępiania, potrafią podać rękę pomocy, nie żałują swej pracy aby rzecz pożyteczną uczciwie poprowadzić.

Na takiej drodze, jest projekt założenia Bursy imienia zmarłego ks. Leona Sapiehy, dla niezamożnych kandydatów do stanu nauczycielskiego. Komitet zajmujący się tą kwestja nie traci nadzei w ofiarność publiczną, urządza odczyty, zapowiada przedstawienia teatralne, a od ludzi dobrej woli zależy dalsze poparcie przyszłej instytucji, jak się pokazuje, najwrażliwszej na podszepty nowatorskie.

Stowarzyszenie „Gwiazda“, które w tych dniach zwołało walne zebranie swych członków dla zdania sprawy z dorocznego istnienia, nie może się poszczycić jeszcze takimi rezultatami, jak Towarzystwo Oficjalistów. Zdaje się, że zawcześnie wzięło się do udzielania wsparć podupadłym członkom, nie mając dostatecznie sformowanego kapitału zakładowego, który dziś dochodzi ledwie 31.000 zł. Dlatego też zgromadzenie ogólne odłożywszy rozprawy na dni 14, wybranemu zarządowi poleciło przedstawić budżet na rok przyszły, aby dobre chęci nie przechodziły możności.

Z zapowiadanych odczytów dwa się już odbyły i to przy udziale licznej publiczności. P. H. Rodakowski, znany artysta malarz, wygłosił zapatrywanie się swoje „O Sztuce“ wykazując czem się różni sztuka XVI wieku, od sztuki dzisiejszej i jakie miejsce Polacy w ogólnem dążeniu do jej zidealizowania zajmują i zająć powinni. Pan Maszkowski na drugim odczycie wykazał wadliwość obecnego programu szkół średnich, którą to wadliwość polegającą na specjalizowaniu wykształcenia, nawet same ministerstwo dostrzegło, i przyobiecał w dalszych prelekcjach wyłuszczyć swoje zapatrywania, w jaki sposób organizacja tych szkół stósownie do wymagań i potrzeb dzisiejszych dałaby się przeprowadzić, Z odczytów p. Maszkowskiego podamy obszerniejsze sprawozdanie.

Widzimy więc, że post bardzo poważnie zaznacza pierwsze swe kroki, do czego dodawszy Don Juana w teatrze, i zapowiedziane koncerta Towarzystwa Muzycznego w Narodnym Domu, przekonywujemy się, że Lwów nietylko bawić, ale i poważnie kształcić się potrafi.

* * *

Salo nasza, ratuszowa Salo! Czegożeś się nie napatrzyła i nie nasłuchała? Basy i barytony mowców wstrzęsły twe ściany w posadach, chóry żeńskie i mięszane nadwerężyły gips u twego sufitu, żyrandol skrzywił się od wstrząśnień koncertów fortepianowych. Jednak ty, w cierpliwości i niewinnej białości swojej, stoisz, stać będziesz i przetrwasz jeszcze może wieki, służąc ojcom miasta, debiutantkom na fortepianie i pełnym nadziei prelegentom za arenę popisu! I nikt jeszcze się nie znalazł, któryby krótkie lecz pełne wrzawy i zgiełku dni twoje na kartach Klio zapisał? A miałaś przecie twoje świetne i wznosłe momenta. Dowiedziałaś się przecież, jeszcze przed laty, gdy mężowie techniczni cię zapełniali o owym człowieku, który na wyspie Jawie spadł z księżyca na aerolicie. Przetrwałaś odczyty estetyczne polityków. Ożywiłaś się jękiem i gwizdem na prelekcjach Tarnowskiego. Wysłuchałaś cierpliwie kursu cybernetyki. Widziałaś fonograf nakręcony przez Abakanowicza jak również wielkiego generała, który był za „natychmiastową wojną z Rossją“ nakręconego przez przyjaciół z bajki. Widziałaś bardzo wiele na przyszłość obiecującego adwokata, jak trzymając z szykiem obie ręce w kieszeni przemawiał do ludu o różnicy między kwestją a sprawą. I widziałaś wiele jeszcze... bardzo wiele innych rzeczy wielkich, wzniosłych... salo nasza, ratuszowa salo!

Lecz nigdy jeszcze tak pięknie nie byłaś ubraną, jak w ostatnią sobotę. Zawieszono cię purpurowemi makatami, zastawiono kwiatami, z pomiędzy których wyglądały posągi. Wszystkie twoje migające płomyki gazowe były zapalone, fotele zapełniły pięknie otoaletowane damy i panowie *en grande tenue*, w białych krawatkach. Byłaś gorącą i uperfumowana jak nigdy.

Mówił p. Rodakowski „O sztuce“.

A mówił tak pięknie, z takim smakiem, tak pysznie władał głosem, że odczyt najzupełniej odpowiedział świątecznemu ubiorowi sali. Nieulega żadnej wątpliwości, że p. R. należy do

najlepszych naszych prelegentów; tyle umie wlać w słowa swoje zapału, obok nadzwyczajnej elegancji w formie.

Treść odczytu jest wszystkim już z pism codziennych znaną, nie potrzebujemy więc jej tu podawać. Myśl zasadnicza koncentruje się, jak zawsze, u ludzi biorących sztukę na serjo, w owem bezgranicznem uwielbieniu dla mistrzów cinquecento, stojących dotąd jeszcze na wyżynach sztuki.

Odczyt to był, najpiękniejszy ze wszystkich tegorocznych.

* * *

W zeszły wtorek odbyło się zwykłe posiedzenie Towarzystwa Przyrodników, na którem po raz pierwszy przewodniczył nowo obrany prezes prof. Żmurko. Na jego wniosek, zgromadzeni, przez powstanie, złożyli wyraz swej wdzięczności prof. Radziszewskiemu, który dotychczas przewodniczył Towarzystwu i przystąpiono do porządku dziennego.

Dr. F. Kamieński, docent botaniki, miał zajmujący wykład o zarazie kapuścianej zwanej *kiłą*, która w ostatnich zwłaszcza czasach znaczne poczyniła szkody w plantacjach kapusty w okolicach Petersburga. Zaraza ta zbadana bliżej przez *Woronina* w r. z. objawia się pod postacią narośli na korzeniach kapusty a także niekiedy i na kalarepie, kalafiorach, rzodkwi, rzepaku i lewkonji. Narośle te, powstają z początkiem lata, zaraza przenika zwolna całą tkankę, a pod koniec lata, cały korzeń rozpada się gnijąc. Z tych zaś szczątków zaraza bardzo łatwo rozchodzi się do około a posypywanie popiołem lub żużlami okazało się niedostateczną prezerwatywą zarazy. Prof. Woronin zbadał dokładnie historję rozwoju grzybka pasożytnego, który przyczynę tej choroby stanowi i na tej zasadzie twierdzi, że środki powstrzymania zarazy, mogą być jedynie następujące:

1. Płodozmian, polegający na tem, ażeby w miejscu gdzie zeszłego roku rosła zarażona kapusta, sadzić inne rośliny, które *kiła kapuściana* nie dotyka.

2. Po sprzęcie kapusty, który się odbywa zwykle za pomocą odcinania głowy, należy wyrywać także korzenie i palić starannie.

3. Nareszcie należy zwracać uwagę przy sadzeniu kapusty i wybierać tylko zdrową.

Po wykładzie Dr. Kamieńskiego, zabierali jeszcze głos pp. prof. Tyniecki o podobnej zarazie lewkonji, prof. Godlewski o asparaginie i Dr. Ochorowicz, o nowym objawie elektryczności statycznej. Wykład Dr. Strzelbickiego o przyczynach ostatniego zalewu w Wieliczce, z powodu nieprzewidzianych przeszkód odbędzie się dopiero na następnem posiedzeniu. Przy tej sposobności nadmieniamy, że na posiedzenia te, odbywające się co drugi wtorek o godzinie 6. w sali uniwersytetu Nr. XV, może przyjść w charakterze gościa każdy, kto tylko interesuje się przedmiotem.

* * *

W poniedziałek obdarzyła nas dyrekcja dwoma oryginalnemi komedyjkami. Grano jednoaktową komedję Wł. hr. Koziebrodzkiego p. t. „Stryj przyjechał“ i „Kroplę atramentu“ p. G. Fiszera. Obydwaj autorowie znani są publiczności z dobrej strony: p. Koziebrodzki, jako autor dowcipnej farsy p. t. „Postępowe swaty“, p. Fiszer, jako aktor pełen humoru i twórca kilku obrazów scenicznych. Publiczność zgromadziła się licznie na przedstawienie, mając uzasadnioną nadzieję, że jeźli się nie zbuduje, ubawi się przynajmniej i uśmieje do syta. Niestety spotkał ją zawód. Komedja p. Koziebrodzkiego nienaturalna w samem założeniu jest zlepkiem kilku komicznych scen, niezwiązanych ze sobą organicznie, miniaturową galeryjką kilku zużytych już postaci komicznych, obrobiony dość niedbale, razi przytem dziwacznem, nieusprawiedliwionem ani akcją, ani charakterami zakończeniem. Werwa w niektórych scenach i zręczny djalog nie mogą jej uratować od upadku. Niżej jeszcze i to o ogromny procent wartości stoi farsa p. Fiszera. Po prostu usuwa się ona z pod krytyki. Dziecinna pod względem intrygi, rozwlekła, może chyba pobudzić do płaczu, ale nie do zabawy. Kilka płaskich, przesiąkłych dymem kawiarnianym dowcipów, stanowią niewybredną okrasę przydługich, wodnistych monologów i banalnych djalogów. Zaiste, nie spodziewaliśmy się, aby p. F. był zdolny do napisania czegoś podobnego, nie pojmujemy zarazem, jak mogła dyrekcja uznać tę sztukę za odpowiednią do grania. W obydwu sztukach główne role grał p. Zamojski i starał się o ile możności własnym humorem nadrabiać to, czego autorom zabrakło. Udało mu się to tylko w małej części, za co mu się należy uznanie zawiedzionej w oczekiwaniach publiczności.

TEATR.

(*Don Żuan*, opera Mozarta, przedstawiona po raz pierwszy na scenie lwowsklej, dnia 27. z. m.)

Ze wszystkich arcydzieł wielkiego mistrza, „Don Żuan“ jest najpopularniejszem. „Flet czarodziejski,“ „Wesele Figara,“ „Wykradzenie z Seraju,“ kompozycje gienialne—znikły już prawie z repertoara i pojawiają się tylko niekiedy na pierwszorzędnych scenach jako archaiczne zabytki: jeden „Don Żuan“ nie stracił nic ze swej młodzieńczej siły i werwy a zawsze młody, zawsze piękny, przemawia zrozumiale figlarnym swym językiem do publiczności, czaruje ją, każe się wielbić i kochać. Bo też trudno sobie nawet wyobrazić kompozycji piękniejszej, lepiej opracowanej, bogatszej w szlachetne melodje, bardziej jednolitej, bardziej skończonej. Nie naszą rzeczą zapuszczać się w szczegółową ocenę tego arcydzieła: nie pozwalają na to po pierwsze ramy dziennikarskiego sprawozdania, a po drugie musielibyśmy się ciągle obracać w ciasnem kółku ogólnikowych pochwał: nad takiemi bowiem dziełami można się tylko unosić, krytyka wobec nich milknie z pokorą.

Olbrzymie trudności nagromadzone w partycji czynią „Don Żuana“ przystępnym tylko dla scen pierwszorzędnych, rozporządzających znakomitemi siłami instrumentalnemi i wokalnemi. Orkiestra w tej operze od pierwszego do ostatniego taktu ma ciągle natężającą pracę i ona prowadzi i rozwija myśli kompozytora i na nią też Mozart położył główną wagę. Partje wokalne wymagają głosów o niezwykłej sile i rozległości. Jeżeliby jaki zarzut Mozartowi uczynić można, to jedynie ten, że za mało uwzględniał głosy ludzkie: nie zwracał on uwagi na „*przeciętnych*“ spiewaków, szło mu głównie o myśl, o wykonanie nie troszczył się wcale. Dla tego też szalone skoki w „*interwalach*,“ i szerokość fraz, w których prawie niepodobna zachwycić oddechu, nakazują artystom dokładnie obliczyć się z swemi siłami. Dyrekcja naszego teatru przedstawiając „Don Żuana“ podjęła rzecz bardzo ryzykowną, przechodzącą siły tutejszego personalu operowego, w każdym jednak razie należy się jej uznanie choćby tylko za chęć obznajomienia publiczności z Mozartowską muzyką. Że przedstawienie „Don Żuana“ nie wypadło bezwzględnie dobrze, o tem zdaje się, nie ma nawet co mówić. Piszący to, miał niedawno sposobność słyszeć „Don Żuana“ w Wiedeńskiej operze, jak wiadomo, jednej z najlepszych w Europie, i przyznać musi, że nawet siły wokalne Wiedeńskiej opery okazały się niedostatecznemi do „Don Żuana.“ Niech to pocieszy lwowską dyrekcję i ułagodzi srogie sądy naszych muzykalnych Katonow, którzy nie mogą darować naszej operze, że stoi niżej od *de la Scala* w Medjolanie.

Najsłabszą stroną całego przedstawienia była partja tytułowa powierzona p. Graciozemu. Artysta ten o głosie już zużytym i bez szlachetnego dźwięku nie kwalifikuje się zupełnie do partji „Don Żuana“, która wymaga głosu silnego, rozległego, a przytem miękkiego—potęgi i uczucia, zalet, z których ani jednej p. Gr. nie posiada. Niestosowność p. Gr. do tej partji, okazała się w całej nagości w słynnej pieśni o winie i w serenadzie. W pierwszej zabrakło głosu śpiewakowi, w drugiej zamiast odspiewać *dolcissimo*, wyrąbał p. Gr. odojętnie jakby jakie zwykłe *recitativo*. Ze wszystkich przepięknych numerów tylko dwa z Zuliną wypadły efektownie. Na zaletę p. Gr. powiedzieć tylko to należy, że grał i starał się spiewać z werwą i tym sposobem udało mu się nawet częściowo pokryć niedostatki spiewu. O ile partja tytułowa nas niezadowoliła, o tyle na zupełne uznanie zasługują partje kobiece odspiewane przez pp. Bossi (Dona Anna), Caracciolo (Zurlina) i Skalską (Elwira), palmę pierwszeństwa zaś w tym *triumfeminacie* zdobyła bezsprzecznie p. Caraceiolo tak wybornym spiewem jak i grą odpowiednią. Duet z Masettem odspiewany był doskonale. Mniej wdzięczne pole do popisu, miały panie Bossi i Skalska. Pani Bossi forsowną swą partję w akcie pierwszym odspiewała jak można najlepiej i złożyła tem nowy dowód, że posiada głos niepospolity i wyborną szkołę. Przyznać się musimy, że czytając na afiszu imię pani Skalskiej, jako Elwiry, obawialiśmy się mocno, czy zdoła choćby znośnie wywiązać się z swego zadania, partja bowiem Elwiry należy do najtrudniejszych, wymaga dramatycznej siły i ekspresji, a zarazem lekkości i koloratury. Obawy nasze były płonne. Daleko wprawdzie pani Skalskiej do odtworzenia takiej Elwiry, jaką sobie Mozart przedstawiał, każdy jednak, kto ją słyszał w tej roli przyznać musi, że sumiennie wystudjowała swą partję i wszystkie numera odspiewała czysto i poprawnie. Są to zalety, które nie zawsze chodzą w parze z pięknym głosem i przyjemną powierzchownością. Wielką arję w odsłonie drugiej odspiewała p. Skalska efektownie, a nawet z pewnym zasobem dramatycznej siły.

Charakterystyczną cechą „Don Żuana,“ jest to, że wbrew zwyczajowi, partję tenorową usunął kompozytor na drugi plan. Oprócz jedynej, prześlicznej arji i kilku *recitatiwów*, don Antonio ma tylko w *ensemble'ach* do czynienia. P. Zakrzewski wywiązał się wybornie ze swego zadania, a za arję, o której wspominaliśmy, odspiewaną ze zwykłem u niego przejęciem się, zebrał sporo zasłużonych oklasków.

Powiedzieliśmy powyżej, że najsłabszym w przedstawieniu był p. Graciosi—przepraszamy, nie jest to jeszcze kwestją rozstrzygniętą, bo godnie z nim walczył o tę ujemną wyższość p. Guberski, jako Leporello. Nie pojmujemy zaiste, co skłoniło dyrekcję do powierzenia tak ważnej partji p. Guberskiemu, spiewakowi początkującemu, choć nie bez talentu, któremu jednak brak do partji Leporella, jednej wprawdzie tylko, ale nadzwyczaj ważnej rzeczy—dobrego głosu... Pan G. może być pożytecznym do niektórych mniejszych partyjek; większych jednak partyj bezwarunkowo spiewać nie może, albowiem głos jego ma za szczupłą skalę, i nie posiada prawie żadnego metalu. Czytaliśmy w „Gaz. Nar.,“ że dyrekcja powierzyła tę partję panu G. dla tego, ponieważ w składzie obecnym personalu operowego, jest on jedynie możliwym do tej partji. Dziwna rzecz, że dyrekcja tak mało zna własne siły. Według nas jednie możliwym jako, Leporello, jest pan Koncewicz, choćby tylko dla tego, że ma głos jędrny i rozległy, czego brak panu Guberskiemu. Nie mamy pretensyj do młodego spiewaka i owszem musimy podnieść zalety gry jego nie mniej przyznać, że spiewał, jak mógł najlepiej, mimo to jednak faktem jest, że przez obsadę teraźniejszą partji Leporella, „Don Żuan“ wiele traci...

Od tych ujemnych stron miło nam przejść do dodatnich. Orkiestra dzięki gorliwości i umiejętnemu kierownictwu p. Jareckiego wywiązała się nad spodziewanie dobrze ze swego zadania, a brak niektókrórych instrumentów np. harfy pedałowej bardzo zręcznie potrafiono zastąpić. Chóry spiewały czysto i pewnie. W ogóle tak artystycznemu kierownictwu,

jak i reżyserji należy się zupełne uznanie za poprawne przedstawienie Mozartowskiego arcydzieła. Niedostatki któreśmy wykazali, pochodzą po części z braku wokalnego materjału, po części z niestosownego użycia sił. Z czasem może dadzą się one usunąć sądzimy jednak, że nawet z obecnymi brakami „Don Żuan" będzie przez długi czas figurować w repertoarze naszej opery i będzie stanowić siłę przyciągającą dla muzykalnej publiczności.

Bolesław Czerwieński.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Aimard Gustaw*, Awanturnicy. Powieść przełożona z francuskiego 2 tomy 8ka, str. 276, 200. Warszawa 1879. Cena 2 zł. 50 ct.

— *Bartoszewicz Julian*. Dzieła tom IV. Historja pierwotna Polski. Wydanie pierwsze z rękopismu, Tom II. 8ka, str. 521. Kraków 1879. Cena 3 zł.

— *Bobrzyński Michał*. Dzieje polski w zarysie 8ka, str. 487. Warszawa 1879. Cena 3 zł.

— *Bock E.* O różnych metodach leczenia. Opracował W. Łukowski 8ka, str. 49. Warszawa 1878. Cena 85 ct.

— *Bóg najwyższe dobro*, czyli uczucia serca nabożnego katolika. (Książka do modlenia) 16ka, str. 402. Lwów 1879. Cena 1 zł. 50 ct.

— *Roguski J. J.* Najnowsze odkrycia w dziedzinie fizyki. Treść. Skraplanie gazów, Telefon, Mikrofon, Oświetlenie elektryczne z drzeworytami w tekscie, oraz dwiema tablicami litografowanemi 8ka, str. 72. Warszawa 1879. Cena 1 zł.

— *Brosius i Koch*. Szkoła maszynisty. Podręcznik dla urzędników dróg żelaznych, i uczniów szkół technicznych tłumaczył z trzeciego wydania Ludwik Wojno. Część pierwsza. Kocieł parowozu i jego uzbrojenie ze 159 drzeworytami i 2 tablicami litografowanemi 8ka, str. 164. Warszawa 1879. Cena z policzeniem za komplet (3 części) 5 zł.

— *Bykowski P. Jaxa*. Ostatni Sejmikowicze. 16ka. str. 262. Warszawa 1879. Cena 1 zł. 25 ct.

— *Chyliński Michał*. Dzieje ojczyste ze szczególnem uwzględnieniem histrorji Galicji. Dzieło prof. Uniwersytetu Jagiel. M. Bobrzyńskiego do użytku klas wyższych szkół średnich zastosował, 8ka, str. 358. Kraków 1879. Ceaa 1 zł. 50 ct.

— *Ćwierczakiewicz L.* Nauka robienia kwiatów bez pomocy nauczyciela z 229 rycinami, 8ka, str. 138. Warszawa 1879. Cena 1 zł. 75 ct.

— *Dall' Ongoro Francesco*. Żelazne pęta, powieść, przekład z włoskiego, 16ka, str. 184. Warszawa 1876. Cena 50 ct.

— *Daudet Alfons*. Jack. Powieść, 2 tomy w jednym, 16ka, str. 287, 223. Warszawa 1879. Cena 1 zł. 25 ct.

— *Dumas A.* (Syn) La San Felice, Romans, 14 tomów, 16ka, str. 192, 188, 189, 189, 188, 194, 192, 180, 192. 172, 144, 152, 119, 120. Warszawa 1877—1879. Cena 5 zł. 25 ct.

— *Horwat Jerzy*. Wyklęte dusze, powieść, 8ka, str. 135. Warszawa 1879. Cena 1 zł.

— *Hugo Wiktor*. Historja zbrodni. Powieść tom III. IV. 8ka, str. 129. 206. Warszawa 1879. Cena 1 zł. 70 ct. Komplet 4 tomy. Cena 3 zł. 20 ct.

— *Jaskulski X. A.* Gramatyka hebrejska, 4. str. 92. Warszawa 1878. Cena 3 zł. 50 ct.

— *Krasicki Ignacy*. Myszeis, poemat w dziesięciu pieśniach, wydanie dla młodzieży i dzieci z dziesięciu drzeworytami, 4. str. 20, oprawne. Warszawa 1879. Cena 75 ct.

— *Kraszewski J. I.* Pan na czterech chłopach. Historja szlachecka z XVIII. wieku, 8ka, str. 195. Warszawa 1879. 1 zł. 50 ct.

— *Kraszewski J. I.* Syn marnotrawny, Opowiadanie z końca XVIII wieku 2 tomy, 8ka, str. 140, 146. Warszawa 1879. 4 zł.

— *Kraszewski J. I.* U babuni. Powieść, 2 tomy, 8ka, str. 181. 179. Warszawa 1878. Cena 2 zł. 50 ct.

— *Laboulaye E.* Historja stanów zjednoczonych. Tom IV. 8ka, str. 384. Warszawa 1878. Cena 2 zł. 10 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

⁂ *Pomoc własna* (Self-Help) dzieło Samuela Smilesa wyszła w Warszawie w trzeciem wydaniu nakładem zasłużonego wydawcy A. Wiślickiego. Nowe to wydanie jest jeszcze tańszem od poprzednich i kosztuje tylko 1 zł. 80 ct.

⁂ *Siedziba wodza legjonów*. 1812. Poznań. 1879. Pod tym tytułem wyszła książeczka opisująca jenerała H. Dąbrowskiego i jego rodzinę wierszem. Szkoda że nie prozą.

⁂ W Paryżu wyszły z druku *Poezje Adama Underowicza*. Pieśni, Mazurki, Romanse, Wiersze różne.

⁂ *Jenerał Ludwik Mierosławski*. Kilka słów o jego życiu i pogrzebie. Pod tym tytułem wyszła w Paryżu broszura zawierająca kilka słów wspomnienia o Mierosławskim, sławną obronę Mierosławskiego przed sądem Berlińskim w 1846 r. i mowę pogrzebową księdza A. Balczewskiego mianą nad grobem jenerała.

⁂ W Przemyślu rozpoczęło wychodzić pismo pt. *Urzędnik*, poświęcone sprawom urzędników wszelkich zawodów.

⁂ *Żmija*, poemat Juljusza Słowackiego wyszedł w taniem wydaniu w Bibljotece Mrówki.

⁂ *Dziejów polskich* Reppla wyszedł z druku zeszyt 6 zawierający koniec tomu I. i początek tomu II. Ogólnego zbioru Bibljoteki historycznej jest to zeszyt 154.

⁂ Nakładem Redakcji Przeglądu tygodniowego wyszła w polskim przekładzie powieść Lorda Beaconsfielda pt. Tankred.

⁂ P. Teofil Merunowicz ukończył w tych dniach obszerną pracę pt. „*Kwestja żydowska w Galicji*". Będzie to praca wyczerpująca i zawierająca nowe, wszechstronne poglądy na kwestję tak piekącą jak żydowska, szczególniej u nas w Galicji. Każde twierdzenie popiera autor cyframi i żywymi, ciekawymi przykładami, wykazującymi jak ważną rolę odgrywają w Austrji żydzi na każdem polu i w każdej sferze, nie wyłączając dziennikarstwa i polityki.

⁂ Tow. Przyjaciół Nauk Poznańskie kończy już tom III. Kodeksu Wielkopolskiego, oraz rozpoczęło „Liber Beneficiorum" Łaskiego, z przypiskami Korytkowskiego, oraz przygotowało do druku katalog galerji obrazów, oraz akwarelli i rycin; majątek Tow. wynosi 40.980 marek.

⁂ Na posiedzeniu Tow. Lekarskiego Lwowskiego 18. stycznia zajmowano się kwestją szczepienia ospy oraz hygieną rzemiosł.

⁂ W Tow. Przemysłowem Poznańskiem miał p. Rakowski odczyt „Niewiasta w wiekach przedchrześciańskich".

⁂ Dwa obrazy Siemiradzkiego „Rozbitek" i „Kobieta czy waza", wystawione zostaną w osobnej sali Tow. Zachęty Szt. Pięknych w Warszawie.

⁂ W dalszym ciągu portretów historycznych p. Maleszewski wydał wizerunek Skargi.

⁂ „Ueber die abnorm lange Dauer der Gravidität", jest to doktorska rozprawa p. Adama Syndykowskiego, słuchacza medycyny w Würzburgu.

⁂ Bradford Magazin, czasopismo wydawane w Edinburgu, mieści „Obrazki Galicyjskie", pisane przez Angielkę, żonę p. Ł. z Brzeżańskiego.

⁂ „Zapiski i wrażenia z podróży do Ziemi Świętej i Egiptu", p. ks. Kaź. Dorszewskiego. (Gniezno).

⁂ „Dzieła i rozprawy przez Akademię Nauk Krakowską w ciągu lat pięciu wydane", spisał Wł. Wisłocki. (Kraków 1879).

⁂ „Wskazówki do dziejów narodu Polskiego", p. Teodora Morawskiego. (Kraków).

⁂ „Polski elementarz", nakładem Gazety Polskiej w Chicago, w Ameryce.

⁂ Litwos (Sienkiewicz) napisał nową komedję „Na jedną kartę", którą przesłał dyrekcji Teatru Lwowskiego.

⁂ „Don Juan" Bajrona, pieśń II, III i IV w Przekładzie Wiktora z Baworowa, wyszedł z Tarnopola drukiem Pawłowskiego, na korzyść bratniej pomocy słuchaczów Uniwersytetu Lwowskiego.

⁂ „Wohnsitze d. Deutschen", dzieło H. Böttigera w Stutgardzie, ważne do badań nad siedzibami słowian.

⁂ „Vita de Copernico", włoski przekład z Flamariona, przez D. M. Urabitto.

⁂ P. Paweł Merwart, nasz rodak, kształcący się w Ecole des Beaux Arts, za rysunek naśladujący starożytną ornamentykę, otrzymał pierwszy medal.

⁂ Piszą nam z Rzymu: Zwiedzaliśmy niedawno pracownię Semiradzkiego i oglądaliśmy tam nowy obraz: „Taniec mieczów." Jest to dzieło pod każdym względem wspaniałe, godne innych prac tego wielkiego artysty, do ocenienia których wszelka pochwała byłaby niewystarczającą. Nowy ten obraz przedstawia ogród nad brzegiem morza; niedaleko Neapolu; z jednej strony widzimy grupę ludzi, patrzących ciekawie na taniec, a między nimi jest także i cesarz rzymski. Z drugiej strony muzykanci, a wśród nich kobieta, tańcząca na rozesłanym dywanie, z których sterczy 6 mieczów.

Wszyscy jednogłośnie przyznają, iż „Taniec Mieczów" jest arcydziełem, artyści nawet cuda o nim mówią, co się bardzo rzadko zdarza. Spotkaliśmy w pracowni Brodzkiego, był zachwycony. Jaka szkoda, że wielkie to dzieło Semiradzkiego zostaje własnością m. Paryża. Tymczasem można je oglądać w pracowni malarza, ulica Margutta, nr. 5 od godziny 1 do 5 po południu.

Wiadomości społeczne.

⁂ W Tow. Warsz. Kredytowem rozpoczęły się 14 b. m. półroczne posiedzenia, na których ma być rozbieraną kwestja funduszu melioracyjnego, oraz ustawa dla Tow. kredytowego miast prowincyonalnych.

⁂ Komisja leśna, którą proponował zeszłoroczny zjazd leśników w Warszawie, zatwierdzoną przez władzę została.

⁂ W Warszawie zawiązuje się towarzystwo wzajemnej pomocy cukierników.

⁂ Polacy zamieszkali w Ameryce, zakładają drugie stowarzyszenie wzajemnej pomocy.

⁂ Polacy w Sanfrancisko, wysłali do kraju adres dla wręczenia w stosownej chwili Kraszewskiemu.

Nekrologja.

† 25. lutego b. r. zmarł w Warszawie w sile wieku Franciszek Tegazzo, artysta-malarz.

Krótka, ale ciężka choroba przyniosła zgon temu niestrudzonemu, wybornemu pracownikowi sztuki, który, choć mu Opatrzność nie dała pierwszorzędnego talentu, wytrwałością i wysokiem a szlachetnem pojmowaniem piękna potrafił wywalczyć sobie stanowisko otoczone szacunkiem i uznaniem.

Wiadomości o nieboszczyku napróżnobyśmy szukali po encyklopedjach; proszony o notatki, tyczący się własnej osoby, odmawiał zawsze.

Cichy i skromny trzymał się na uboczu, nie mówił o sobie nigdy, nikogo sobą nie zajmował; ztąd o szczegóły z jego życia niezmiernie na razie trudno.

Uczył się w kraju, a następnie w akademii petersburgskiej sztuk pięknych, gdzie ukończył studja z odznaczeniem.

Po powrocie do Warszawy zabrał się do pracy samodzielnej, której owocem były wysoko cenione obrazy religijne, rodzajowe i wyborne, celujące podobieństwem portrety.

Z rozwojem krajowego drzeworytnictwa począł rysować dla pism, a każdy jego rysunek był arcydziełem wykonania.

Te prace Tegazzego żal było oddawać pod rylec drzeworytniczy, choćby najdzielniejszy. Oprócz ogromnych studjów w przeszłości, prócz pewności ręki i akademickiego pojmowania najdrobniejszych szczegółów — miał on jeszcze wielką miłość sztuki, wielką sumienność pracy i skalę wymagań względem samego siebie bardzo szeroką.

Dla innych za to pobłażliwy, nigdy nikogo nie sądził, w krytyczne uwagi się nie wdawał, a był jednym z pierwszych, co wielkość Matejki przeczuł, przepowiedział i wielkość tę całą duszą i bezgranicznem uznaniem ukochał.

Tegazzo był przez lat kilkanaście przewodni-

łem części artystycznej *Tygodnika illustrowanego* i pod względem sztuki illustracyjnej nie małe położył zasługi.

W ostatnich latach nieboszczyk rysował wiele, malował za to mało i ciągle uskarżał się, że praca na chleb przygnębia go i zdrowie mu zabija.

Niestety — umarł pozostawiwszy żonę z kilkorgiem dzieci bez *żadnych zasobów*.

To, co im zostawił, nawet na pogrzeb nie wystarczy!

Sprawiedliwy ten człowiek, pożyteczny, prawy, dzielny pracownik na niwie sztuki, umysł niepodległy, dusza czysta i bolejąca, choć miłości pełna — legł w grób po ciężkim znoju, z ostatnią, rozpaczną myślą o swoich biednych sierotach. *Kur. W.*

† Z prawdziwem ubolewaniem dowiadujemy się z pewnego źródła o smutnej śmierci *Henryka Wyzińskiego* współpracownika *Journal des Debats*. Od dawna już cierpiał on na czarną melancholję, w przystępie której wskoczył do Sekwany, zkąd po kilku dniach wydobyto jego ciało. Wyziński położył wielkie zasługi na polu publicystyki, a mało kto lepiej od niego znał kwestję Wschodnią.

KŁADKA.

przez

L. HAMEAU.

Było to na początku jeszcze roku 185... podczas krótkiego mego pobytu w Wandei w zamku B... u dawnej koleżanki i przyjaciółki z pensji, która przypomniała sobie pomimo różnicy położenia (rzecz bardzo rzadka w naszych czasach), że przez kilka lat, i to podług mnie najlepszych z życia, łóżka nasze sypialne i stoliki w sali naukowej, a niekiedy nawet i zadania bywały wspólne.

Jednego dnia, nie wiem już z jakiego powodu, odmówiłam przyjęcia udziału w wspaniałem polowaniu. A jednak byłabym lubiła jak wiele innych, puścić wodze młodemu i ognistemu rumakowi, który w szalonym galopie unosiłby mnie, to przez ciemne lasy, to przez puste lub jałowcem zarosłe pola, płosząc chmury ptaków unoszących się w obłoki z głośnym szelestem skrzydeł. Tak jest, w taki sposób rozumiałabym była zamiłowanie w jeździe konnej, bez próżnych strojów, bez świadków, odosabniać się szybkością biegu od reszty świata... Jakiegoż to nieokreślonego uczucia zachwytu musi się doznawać czując, że odkryte czoło i rozpuszczone włosy chłodzi łagodny przepełniony wonią naszych łąk i lasów wietrzyk, którego powiew upaja... Ale próżniactwo bywa niekiedy rzeczą bardzo pociągającą... tego dnia ukazało się też ono pod postacią miłego, słodkiego marzenia, które jest jakby rodzoną jego siostrą. Ponieważ zaś nigdy nie miałam upodobania do hałaśliwych zabaw, łatwo więc dałam mu się skusić. Pod pozorem, o ile sobie przypominam, lekkiej słobaści, pozostawszy sama, poszłam marzyć do parku, który przyznać trzeba był prześlicznym, Wysokie szpalery krzewów, miejscami nietknięte ręką ludzką rozpościerały całe bogactwo dzikiej natury, lub tworzyły sztuczne rotondy i gaiki; długie, cienkie aleje stóletnich drzew wraz z miliardami ptaków gnieżdżących się wśród gałęzi starych dębów i rozweselających to ustronie swymi melodyjnymi koncertami, którym nikt nie przeszkadzał, wszystko to odpowiadało bogactwu starego pańskiego zamku, do którego należało.

Szłam powoli i od kilku chwil dopiero porzuciłam Lamartina tego śpiewaka natury, ażeby się wsłuchać w tajemnicze głosy obfitego źródła, zkąd wypływa wszelkie natchnienie i poezja, gdy na zakręcie jednej alei nagle ciekawość moja została obudzoną. Stałam naprzeciwko małych, nizkich drzwiczek, wybitych w murze okalającym park, chciałam nieledwie powiedzieć, w murze fortecznym, gdyż to był rzeczywiście jeden z tych murów, jakie umieli budować nasi ojcowie, żeby w razie potrzeby módz zamienić swoją siedzibę w miejsce obronne.

Musiałam już zapewne przechodzić około tych tajemniczych drzwiczek, lecz nie zwróciłam na nich uwagi, gdyż gęsta leszczyna zasłaniała je z jednej strony, a bluszcz i mech tworzyły nad niemi fronton o tysiącznych arabeskach i zakrywały je do połowy prawie.

Z pewnem wysileniem usunęłam wkrótce znaczną część przeszkód stawianych mi przez bujne rośliny, ale pozostawały jeszcze gorsze i groźniejsze do przezwyciężenia, to jest zamknięcie. Widać jednak że jakiś bóg opiekuje się ciekawymi, gdyż z radością spostrzegłam że rygli już nie było i że zastąpione zostały zamkiem. Malutki jego kluczyk nie musiał bardzo męczyć delikatnych paluszków powabnej pani zamku, która prawdopodobnie przychodziła tu niegdyś każdego wieczoru otwierać swemu wiernemu rycerzowi.

Pociągnęłam silnie do siebie; zawiasy zardzewiałe przez czas opadły i drzwi ustapiły łamiąc zarazem jeszcze kilka nieposłusznych gałęzi. Otworzyłam je na rozszerz, zachwycający widok jaki się ukazał moim oczom, sowicie mi zapłacił za wszelkie trudy.

Z jednej strony rozciagał się las olbrzymi, którego wierzchołki zaczynały już nabierać tych pięknych tonów słonecznych tak bogatych w odcienia, jakiemi zwykł je zdobić początek jesieni; z drugiej wzrok się unosił nad wesołą doliną, gdzie łatwo dostrzedz było można w głębi mały strumyczek, gzienieniegdzie otoczony topolami, to znów wijący się przez łąki jak długa wstążka srebrna.

Przypatrzywszy się z daleka z zachwytem całości tego prześlicznego krajobrazu, zapragnęłam wkrótce zobaczyć bliżej niektóre jego szczegóły. Puściłam się też nie wybierając długo drogi, ścieżką otoczoną kaprifolium i morwami a prowadzącą do doliny i doszłam prosto nad brzeg wody. To co z góry brałam za śliczny strumyczek, było małem ramieniem rzeki, w tem miejscu nawet bardzo wązkiem. Poczęłam szukać jakiejś kładki, którąby mi pozwoliła przejść na drugą stronę suchą nogą. Wiedziałam dobrze, iż w całej okolicy był to rodzaj mostu najwięcej używany, rozczarowanie jednak moje było nie małe, gdym nigdzie dostrzedz nie mogła poszukiwanej deseczki, co też nie omieszkałam wyrazić głośno. Doktór wiejski, którego często wzywano do zamku, znajdował się w pobliżu, choć go dotychczas nie spotrzegłam. Odgadując moje zakłopotanie, zbliżył się on uprzejmie do mnie. Był to piękny starzec o twarzy łagodnej i dobrej, uczony bez zarozumienia. Wymowa jego przekonywująca musiała nieraz pocieszyć duszę uzdrawiając ciało. Zamknął książkę i pozdrowił mnie z uprzejmym uśmiechem.

— Trochę dalej można znaleźć to czego szukasz moje dziecko — wymówił a zbliżywszy się jeszcze bardziej dodał — Dawniej istniała rzeczywiście w tem miejscu deska rzucona z jednego brzegu na drugi, po której prześliznęło się wiele maleńkich nóżek i wiele par szczęśliwych, ale straszny wypadek jaki się wydarzył przeszłego roku, tak bolesne wrażenie sprawił na mieszkańcach naszej wioski, że wszyscy się zgodzili na położenie dalej nowej kładki, ażeby o ile możności odsunąć z tych miejsc wspomnienie tego dnia nieszczęśliwego.

W tej chwili spostrzegliśmy zbliżającego się po drugiej stronie wody młodego wieśniaka, którego chód był powolny i chwiejny. Przysunął się nad sam brzeg, myślałam jednak że odwróci się szukając jak ja środka do przejścia, ale on nie troszcząc się wcale taką drobnostką, przeszedł rzeczkę stawiając nogi na wielkich kamieniach, które musiał znać dokładnie. Ja ich poprzednio nie zauważyłam. Miejscami jednak woda sięgała mu do kostek. Doszedłszy do nas rzucił na ziemię kij, na którym się opierał i usiadł na trawniku rozciągającym się nad brzegiem. Potem położywszy na kolanach ogromny snop kwiatów polnych, zaczął je rzucać po jednemu na rzeczkę, a prąd wody porywał je z sobą... Wzrok jego był nieruchomy a wyrazy, jakie wymawiał półgłosem, niezrozumiałe. Matowa jego bladość, którą podnosiły jeszcze długie czarne włosy, jego dziwne ruchy, wszystko to zajmowało mnie i budziło ciekawość.

Po kilku chwilach obróciłam się do starego doktora, myśląc, iż zastanę go zdziwionym mojem tak długiem wpatrywaniem się w nieznajomego, ale zobaczyłam, że i on pogrążony jest w zamyśleniu i wzrok ma w tę samą stronę obrócony... oczy jego były łez pełne...

— Biedny Fabian! — wymówił wkrótce z długiem westchnieniem — umrze z tego niewątpliwie!...

Postąpiliśmy jeszcze kilka kroków w milczeniu mocno wzruszeni. Potem nie mogąc powstrzymać mojej ciekawości, a widząc że słońce jeszcze bardzo wysoko i że wesoły orszak myśliwych nie prędzej jak za godzinę powróci, poprosiłam poczciwego starca żeby mi opowiedział jakim strzaszliwym wypadkiem ten człowiek młody i silny, doprowadzony został do takiego upadku moralnego i fizycznego.

— Jest to historja bardzo krótka i bardzo smutna — odpowiedział mi wskazując ręką mały pagórek, który tworzył samorodną ławkę okrytą mchem i różowym wrzosem, potem usiadł przy mnie i w ten sposób rozpoczął swoje opowiadanie.

— Piętnaście lat temu mniejwięcej, pewna biedna kobieta z wioski B... pozostała wdową z trojgiem małych dzieci, z których najstarsze miało zaledwie siódmy rok. W kilka miesięcy później gorączka trawiąca zabrała jej dwoje młodszych. Wtedy to dopiero wszyscy na wyścigi starali się nieść pociechę i pomoc biednej strapionej. Pomiędzy innymi bogaty dzierżawca, który często używał jej męża do rozmaitych robót w polu, ofiarował się, wziąć ją do siebie, ażeby pomagała jego żonie w gospodarstwie domowem i w dozorze nad innymi służącymi.

Biedną wdowę wiele kosztowało porzucenie na zawsze tego skromnego mieszkanka, gdzie jej upłynęło kilka lat szczęśliwych, lecz niestety! zbyt krótkich... Ale zdecydowała się w końcu myśląc o swoim maleńkim Fabianku, którego dzierżawca obiecywał wychować swoim kosztem.

Było to dziecko łagodnego i dobrego charakteru, o twarzyczce otwartej i inteligentnej, dające się łatwo kochać przez wszystkich. Śmierć ojca i dwóch małych braciszków zmartwiła go bardzo, potem płakał jeszcze dni kilka, widząc łzy, które matka nie umiała przed nim ukryć, ale w dzieciństwie łatwo się zapomina. Najdrobniejszy przedmiot sprawia rozrywkę, a wrażenie odebrane dnia dzisiejszego bardzo prędko zaciera to, jakiego wczoraj się doznało, to też Fabian zajęty nowem swojem położeniem, dosyć prędko osuszył łzy z oczów.

Do pocieszenia i przyzwyczajenia dziecka do nowej siedziby przyczyniła się głownie nagła przyjaźń, jaką uczuł do maleńkiej Marylki, najmłodszej z córek dzierżawcy, ślicznej czteroletniej blondyneczki, o rumianej twarzyczce, kręcących się włoskach i wielkich niebieskich naiwnych oczkach.

Znajomość była bardzo prędko zrobiona i wkrótce dziewczynka nie mogła obejść się bez tego, którego już nazywała swoim maleńkim mężem. A jakie to śliczne zabawy odbywały się razem. Gdy nadszedł czas żniw, często bardzo wieczorem, kiedy żniwiarze powracali z pola, można ich było widzieć przewodniczących całemu orszakowi z wiązką złocistych kłosów na ramieniu. Jakże dumnymi się wydawali, gdy to był plon wspólnej ich pracy wieczornej. Innym razem, sadzano Marylkę na wóz pełen zboża i tam siedząc wśród żółtych kłosów, jak mała Ceres wznosiła dumnie główkę, na której wśród ślicznych jasnych włosków, spoczywał wianek z bławatków lub stokrótek zwinięty przez Fabianka.

Lecz dnie smutku nadeszły wkrótce. Jednego dnia młody chłopiec musiał się udać do szkoły. Ileż to łez zostało wylanych z jednej i drugiej strony; a dnia każdego uprzedzając znacznie godzinę powrotu, maleńka Marylka wychodziła na drogę, aby czatować na swego dobrego przyjaciela. Za to gdy nadeszła niedziela, jakże sobie wynagradzano długie rozłączenie w ciągu tygodnia...

A kiedy powróciła wiosna sprowadzając z sobą kwiaty i ptaszki do naszych lasów, to nasi figlarze biegli do sąsiedniego lasu, tego, który tam pani widzisz po drugiej stronie rzeki, a wszystkie echa powtarzały tylko ich szczere wybuchy śmiechu i wesołe piosenki. Wieczorem dopiero powracali do domu obciążeni pękami kwiatów i gniazdkami ptaków, które szedł zbierać na wysokich drzewach odważny Fabianek dla swojej małej przyjaciółki, gdyż dla niego nic nie było niepodobnem, ile razy ona wyraziła jakieś życzenie.

— Rośli razem jak dwa ptaszki w jednem wychowane gniazdku. Można było myśleć że jedno tylko serce biło w nich obojgu, gdyż jedne mieli myśli, jedne pragnienia; jedne usposobienia i cierpienie albo radość jednego w równej mierze odczuta była przez drugie. (Dok. nast.)

Odpowiedź Redakcji.

Wj. I. L. w Sieniawie. Nr. 4. „Tygodnia“ został skonfiskowany a ponieważ i pismo równocześnie zawieszone zostało, więc na Nr. 3. „Tygodnia“ przerwane zostało to wydawnictwo. „Tydzień Polski“ zawiera dalsze ciągi wszystkich prac rozpoczętych w „Tygodniu“

Treść Nr. 6.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki